

OPETANIE POLSKA

Widok z wieży kościelnej

GDĄŃSK XI

stać miłośne

maciłodirze

C-15010

ZIELONA GÓRA 19 X 1986 — 1 XI 1986 R.
ROK XXX NR 21 [626] CENA 15 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

POMOST

Maciej Szafranski

Orka, spacer po polach i lasach, wykopy budowlane — to wszystko może przerodzić się w wielką odkrywczą przygodę. Trzeba tylko umieć chodzić po ziemi i uważnie się jej przyglądać. Coś jak zbieranie grzybów, tylko o wiele ciekawiej. Krzysztof otwiera nieznany mi świat...

Ten pagórek po prawej nie jest takim sobie zwykłym pagórkiem — to kurhan, a tam dalej w lasu odkryto ślady cmentarzyska. Kłania się kultura łżycka. Teraz chodzi o to, by spuścić na nie umknęła naszej uwadze. Dlatego robiona jest ta mapa, za którą tutaj odpowiedzialne jest muzeum w Świdnicy. Archeologiczna mapa — to w zasadzie prosta rzecz. Dzieli się ziemię polską na prostokąty i w każdym z nich zaznacza wartościowe znalezisko wygrzebane najczęściej plugiem. Każda skorupka ma zakodowaną wiekową informację. Opowiadanie Krzysztofa jest pasjonujące. Jadę na spotkanie z niezwykłym człowiekiem. Droga E-14 do Kozuchowa. Dojeżdżamy do Witkowa. Reiner już czeka. Wzrost średni, krepki, krótko ostrzyżony, rudawe włosy. Strój raczej roboczy, jak przystało na archeologa. Jego „polski” nie budzi zastrzeżeń. Mocno jednak pobrzmiewają niemieckie „stwardnienia”. Rozpoczyna się opowieść, która wciągnie mnie na... kilka lat.

Witkowski kompleks jest unikalny w europejskiej skali. Zachował się tu zarówno średniowieczny kościół jak i wspaniała wieża rycerska. Wszystko budowane w tym samym czasie, czego dowodzą wykopaliska prowadzone pod kierunkiem Reinera Sachsa. W obu budowlach zachowane są przepiękne malowidła ściennie. Te w wieży tym cenniejsze, bo podpisane. Jest sierpień, pa nuje upał. Ten pracowity niemiecki archeolog jest bardzo młody i już samo dzieło prowadzi niezwykle odpowiedzialną i pasjonującą pracę naukową. Gdybyśmy chcieli mierzyć ją także kategorią historycznych uprzedzeń, praca okazuje się nawet ryzykowna. Reiner to sobie uświadamia i bez oporów opowiada o nawet śmiesznych reakcjach miejscowych. Jednak nie te reakcje go martwią. Zmartwieniem jest to, że stary czternastowieczny kościół stał się dla witkowsian niewygodny. Smutny los spotkał go bardzo szybko. Można tu mówić o paradoksalnych związkach czasowo-przestrzennych. W sąsiedztwie sta rego, stoi zbudowany na początku naszego wieku były protestancki kościół z wszelkimi wymaganiami we współczesny światyni wygodami. Długo się nie namyślano. Być może Bogu obojętne jest, jaki zajmuje „apartament”, jednak wielki zdecydowanie opowiedzieli się za centralnym ogrzewaniem...

Liczba wież rycerskich z zachowanymi malowidłami nie przekracza dziś w Europie dziesięciu. Tak solidnie budowany zabytek z kamienia jest najprawdopodobniej pozostałością po książęcych ślaskich. Witkowska perła jest rzeczywiście frapująca. Oto zwyczajna wieś a w niej wieża i kościół, stanowczo przekraczające potrzeby średniowiecznej osady. Współcześni mieszkańcy prawdopodobnie nie uświadamiają sobie, że o ich siedzibie bardzo wcześnie wspomniano w historycznych źródłach. Już w trzynastym wieku, jako świadek w jednym z dokumentów występuje witkowski ksiądz... Reiner wie, że jest na początku badań, mówi jednak z dużą odwagą o planach na przyszłość. Jeżeli ma to być solidna, naukowa praca — to musi potrwać wiele lat. My jednak już teraz stawiamy hipotezę. Witków to założenie książęce, był tu gospodarczy klucz solidnie broniący. Dowód: zarówno w wieży jak i w kościele wbudowana małe okienka — oba obiekty obwiedzione murem. Szybko jednak

odchodzimy od historii. Współczesność okrutnie pożera zabytki... Reiner wie, że zarówno wieża jak i kościół zaraz po wojnie były w idealnym stanie. Rozpocynamy wizję lokalną. Dla mnie pierwszą — Reiner i Krzysztof uzupełniają tylko zdobytą już tutaj wiedzę...

— Tu, gdzie stoimy, odbywały się nabożeństwa. W tej chwili ruina. Sachs — pokazując swą niemieckość — z dużym spokojem mówi o skandalu, którym można obdzielić miejscowe władze i ludność, władze kościelne, władze wojewódzkie... Ten spokój denerwuje mnie, słucham jednak. Zabytek powinien być odbudowany. Dziś pociągłoby to astro nomiczne sumy, a w latach sześćdziesiątych wystarczyło położyć nowe dachówki. Reiner nie może zrozumieć i dziwi się miejscowym zwyczajom. Ludzie opuszczając obiekt, rzucili belki stropowe na opał (kościół i wieża rycerska), niszczyli schody (wieża), przepiękne średniowieczne meble kościelne. Czy można temu Niemcowi wytłumaczyć, skąd wzięła się ta dziwna mentalność powodująca, że do niedawna piękny obiekt w przedziwny sposób stał się niczym? Co to jest niczyje?...

Szef PGR: — „Ubolewam nad tym”.

Miejscowy ksiądz: — „Nic nie wiem. To państwo”.

Młody archeolog nadal dziwi się, że musimy rozmawiać o rzeczach oczywistych... Przecież nawet gdyby to były obiekty państwowe, to chyba istnieje także moralna odpowiedzialność chociażby ze strony kościoła. Niestety, zarówno władze państwowe (gminne), które przy patrywały się tym zniszczeniom, jak i władze kościelne — nie stanęły na wysokości zadania... Te szampowe zdania na określenie zła jakoś mocno brzmią w ustach mego bohatera. Może to jednak ja jestem przewrażliwiony? Jak bym zareagował, gdyby prace w Witkowie prowadził archeolog polskiej narodowości?

Jeden z rolników: — „To straszny grzech”.

Pracownik PGR: — „Wiele działo się tu rzeczy, które nigdy nie powinny mieć miejsca”.

Wracamy do Kościoła. Depczemy po odłamkach tynku, grubej warstwie polamanych dachówek zmieszanej z cegłą i gruzem. Jeszcze trzynaście kilka lat temu to wszystko było dachem i ścianami. Dziś, stropem jest czyste błękitne niebo okraszone cumulusami. Jeszcze niedawno (tylko pokolenie wstecz) usiadłbym w średniowiecznej ławie, by zatopić się w modlitwie, zwracając nie my wzrok w zachowany w całości ołtarz główny. Doprawdy, cudowne ocalenie spotkało ołtarz mistrza z Gościńszowic, który wiele ich stworzył dla wiejskich kościołów. Mistrz doczekał się dziś wielkiego szacunku wśród historyków sztuki.

Kiedy kończy się sezon prac wykopaliskowych, Reiner wraca do Wrocławia. Często odwiedza Muzeum Archidiecezjalne i Kościół NMP na Piaskach. Tam właśnie znajduje się rozdarty na części ołtarz z Witkowa.

Mieszkańcy Witkowa: — „Jak my tu przyszli, to był parę razy czynny stary ten kościół. A teraz?.. My przyszli chleba tu szukać, a drudzy przyszli szaber uprawiać i tak pomału coraz ta Polska biednieje... Na razie parę razy poprawiały był dach, ciężka sprawa była panie,



Fot. TOMASZ GAWALKIEWICZ

TAKI MŁODY A JUŻ JAWOREK

Piotr Plotowski

Kibice z Torunia byli widoczni na ulicach Zielonej Góry już od wczesnych godzin przedpołudniowych. Głośno i radośnie obnosili swoje zadowolenie ze zdobycia przez Apatora tytułu mistrza kraju. Później na stadionie służby porządkowe przejmą do depozytu kilka bułgarskich win strzelających, zwanych u nas szampanami.

W niedzielne południe ulica Wrocławska prowadząca na stadion żużlowy jest jeszcze pustawa. Tuż przed trzynastą ruch pieszy i kołowy gęstnieje do granic wytrzymałości. O godzinie czterdziestu rozpocznie się ostatni w tym roku ligowy mecz Falubazu.

Na stadion przyjeżdża klubowa ciężarówka, a w niej żużlowcy i motocykle. Maciej Jaworek wyskakuje z szofera. Jak i jego koleś jest już gotów do wyścigów. Ma na sobie skórzany kombinezon w białe gwiazdki z angielskimi napisami w kolorze czerwonym. Propozycja rozmowy z dziennikarzem wyraźnie mu nie odpowiada: — Dlaczego ze mną? Ja nie mam nic do powiedzenia. Mistrzostwo Polski? to już historia. Może pan porozmawia z działaczami, trenerem?

Już wcześniej uprzedzano mnie, że no wy Mistrz Polski nie lubi mówić o sobie, a już szczególnie nie przepada za kontaktami z prasą.

Do żużlowca podchodzi trener toruńskiego Apatora, Piotr Nagiel. Maciej Jaworek serdecznie gratuluje trenerowi zdobytego przez jego drużynę tytułu.

Już nas wzięli na języki — mówi trener. — Zaczyna się dzielenie włos na czworo. Szczególnie dziennikarze w Bydgoszczy nie mogą strawić naszego tytułu.

Nie ma się czym przejmować. Falubaz też nie zbiera pochwał. — Jaworek kiwa ze zrozumieniem głową. — Dlatego staram się nie czytać gazet.

Mistrz nie wygląda na swoje 25 lat. Jak większość żużlowców jest filigranowej postury. Ale w ciągu ośmiu lat występów na torze nabył już sceptyczny mu, który jest być może tylko zewnętrzny, ale który stawia barierę między

sportowcem a zmiennym i kapryśnym otoczeniem.

Poszczególne sektory zapelniają się kibicami. Słychać już pierwsze wprawki śpiewających grup: Ma-a-ciej Jaworek! Ma-a-ciej Jaworek! Aaandrzeju Huszcza! Aaandrzeju Huszcza!

Zawodnik z Torunia wypróbował tor. Przedsmak widowiska: ryk silnika, specyficzny zapach żużlowego pyłu.

Otwarcie zawodów. Prezentacja. Kwiaty. Żużlowcy robią pieszą rundę wokół murawy. W toruńskim sektorze karnawał; powiewają flagi, na głowy zawodników sypie się róż confetti. Kłęby dymu. Namiastka południowoamerykańskiego stadionu.

Trzy tygodnie temu, 14-tego września, na tym stadionie Maciej Jaworek nie przegrał żadnego wyścigu. 20 tysięcy kibiców skandowało jego nazwisko. Koleś podrzucił mistrza, a mistrz plakał ze szczęścia.

Jeśli ktoś zapyta mnie za dwadzieścia lat o najważniejszy dzień w moim życiu, to odpowiem bez wahania: 14 września 1986 roku. — Tak określa wartość tego sukcesu, a jednocześnie podkreśla, że ten niedawny sukces należy już do historii.

Jaworek w pierwszym swoim wyścigu nie daje szans rywalom z Torunia; prowadzi od startu do mety. Zapowiada się na wyrównany pojedynek z trudnym do przewidzenia rozstrzygnięciem.

Zażywna jejmość siedząca obok mnie skrupulatnie zapisuje wyniki biegów. Od czasu do czasu wykrzykuje pod adresem żużlowców słowa spoza repertuaru salonowego.

W piątym wyścigu Jaworek jest bezkonkurencyjny. Zdobywa kolejne punkty i szala zwycięstwa przechyla się na stronę Falubazu.

— Ten rok jest dla mnie zdecydowanie najlepszy. We wszystkich krajowych klasyfikacjach znalazłem się w pierwszej trójce. Najlepszy rok, to nie znaczy że łatwy. W zasadzie ciężar ligowych meczów spoczywał na mnie i Andrzeju (Huszczy — P.P.). Trener obliczył, że zdobyliśmy 50 procent punktów wywalczonych przez Falubaz. Pamiętam sezon, w których te punkty rozkładały się nawet na sześciu zawodników. Ciężko się jeździ z taką świadomością. Ale będzie lepiej. Nie brakuje młodych zapalcieńców, którzy chcą wygrać z Andrzejem i mnie traktują już jak dziadków. Taki jest sport. Człowiek w wieku dwudziestu pięciu lat jest już uważany za starszaka.

Wśród kibiców emocje sięgają zenitu. W siódmym wyścigu Maciej Jaworek spotyka się ze znakomicie dysponowanym Zabiłowiczem. Pani kibic obok mnie zaciera ręce: — No mistrzu, pokaż co potrafisz!

Start. Kibice wstają z miejsc. Jaworek na pierwszym wyścigu wychodzi na prowadzenie. Ryk radości wśród kibiców. I tak jest do końca wyścigu. Kibice na stojąco oklaskują zwycięzcę.

Kibice raczej mi przeszkadzają. Staram się wyłączyć. Powiem nawet, że wszędzie mi się dobrze jeździ, byle nie przed własną publicznością. Kibiców rzadko stać na obiektywizm, a przecież ten jest potrzebny do oceny każdej pracy. Denerwują mnie też niektóre publikacje prasowe, pozbawione prawdziwej życzliwości i fachowej oceny, czego oczekuje każdy zawodnik, szczególnie początkujący. Telewizyjni komentatorzy budzą we mnie śmiech i złość. Wszyscy im się myli, mówią często o rzeczy. Czy tak trudno znaleźć kogoś, kto zna się na żużlu?

Karambol. Jeden zawodnik powoli opuszcza tor, drugi ma trudności z wstaniem. Wyścig zostaje przerwany. Na tor wjeżdża karetka. Małolaty za moimi plecami nie ukrywają satysfakcji. Na to czeka. Po chwili drugi zawodnik utykając schodzi z toru.

Nie uważam, żeby żużel był specjalnie niebezpieczny. Więcej niebezpieczeństw czyni na kierowcę samochodu podczas zwyczajnej jazdy. Na torze można jedynie obawiać się zbyt brawurowych a niedoświadczonych konkurentów. Nigdy nie rozmyślałem o niebezpieczeństwie z takimi myślami trzeba kończyć karierę. A jeśli już odczuwam jakiś rodzaj strachu, to jest to ra-

— Na Historycznej Sesji Naukowej poświęconej dwusetnej rocznicy urodzin Joachima Lelewela, zorganizowanej na początku września w Zaganiu, podjął Pan Profesor w swoim referacie problem miejsca Lelewela w historiografii europejskiej. Nasuwają się wobec tego pytania: co z poglądów tego polskiego uczonego jest atrakcyjne dla współczesnego badacza; czy sposoby uprawiania nauki przez autora „Polski, dziejów i rzeczy jej” nadal mogą być dla nas interesujące?

— Postać Joachima Lelewela jest tak wielowymiarowa i tak znacząca, iż można się nią zajmować przez wiele lat. Również moje zainteresowania nią sięgają czasów odległych. Pierwszy artykuł o Lelewelu wydrukowałem — jak to na Sesji wykazał mi profesor Szczegół — już dwadzieścia pięć lat temu i była to praca archiwalna. Obecnie wydaję dużą książkę, dotyczącą jednego wątku działalności i myśli politycznej Lelewela, mało zgrabionego fragmentu życia uczonego na emigracji: kontaktów z tworzącą się, rozwijającą i rozrastającą niemiecką demokracją, szczególnie jej częścią radykalną, także proletariacką, w tym także związków z twórcami „Manifestu komunistycznego”. Praca „Joachim Lelewel i demokracja niemiecka” ukazuje się nakładem Uniwersytetu Łódzkiego.

Wracając do pytania — jeśli mamy do czynienia z wielkim uczonym, to jest to postać najczęściej fascynująca do dziś. W nauce nie tylko drobniagowa wiedza o faktach stanowi o wielkości osiągnięcia naukowego. W owej warstwie wiedzy faktograficznej u Lelewela — przyznajmy — wiele się zmieniło. Ale jednocześnie, choć warstwa faktograficzna starzeje się — historycy przecież pracują — zaskakująco wiele elementów pozostaje z warstwy konceptualnej dzieła lelewelskiego. Profesor Topolski w swoim wystąpieniu podkreślał, że Lelewel był wyjątkowym prekursorem w rozumieniu roli teorii w poznaniu historycznym i bardziej współczesny nam, aniżeli swoim czasom.

W moim referacie, idąc tropem wskazanym jeszcze w latach sześćdziesiątych przez mego mistrza, zmarłego już profesora Mariana Henryka Serejskiego, chciałem pokazać Lelewela w związku z tzw. nową historią jego czasów. Historię, która była ściśle związana z ruchem demokratycznym, liberalnym, równie rewolucyjnym XIX wieku. Wszystkie nurty ideowe, jakie tworzą naszą współczesność, wywodzą się z tamtej epoki. Lelewel był przyjacielem Marksa i jego poglądy zaważyły na spojrzeniu autora „Kapitału” na sprawę polską i dzieje naszego narodu. Jeśli w „Manifestie komunistycznym” czytamy fragment mówiący, iż komuniści w Polsce popierają partię (partia znaczyła wtedy ruch), która wywołała rewolucję krakowską i stawia na rewolucję agrarną, to widać w tym wpływ myśli polskich demokratów, głównie Lelewela.

W dorobku Joachima Lelewela jest dla mnie atrakcyjnych kilka rzeczy, przede wszystkim ogromnie szeroki horyzont jego spojrzenia, sposób widzenia dziejów, jego, wspomniane wcześniej, jakże nowoczesne, rozumienie roli historyka. Fascynuje wreszcie głęboki demokratyzm Lelewela oraz wyjątkowa, emocjonalna i intelektualna służba Polsce. Lelewel miał obsesję Polski oraz poczucie — nie misji, nigdy nie mówił tak górnolotnie ale obowiązku wobec ojczyzny. Czyż nie zadziwia i lelewelski

— Na ile prawdziwe — w odniesieniu do naukowego dorobku Joachima Lelewela są jego słowa, a zarazem motto Sesji zagąńskiej: „Usiłowałem widzieć Polskę niewyobłączoną, ale w związku, położeniu i postępie powszechnym ludów”?

— Mam tu do czynienia z pewną deklaracją uczynioną przez Joachima Lelewela. Znacząca ona, że na dzieje Polski należy patrzeć w kontekście historii powszechnej. Uczony zrobił to w stopniu, na jaki pozwalała ówczesna nauka

wę swego działania, wierząc w rychłą rewolucyjną „wojnę ludów”, w wyniku której wyzwoli się Polska. Lelewel był przekonany, że rewolucji nie robi się w zaciszu gabinetów; wierzył, że w Polsce wybuchnie rewolucja agrarna, której podmiotem będzie chłop; rewolucja związana z rewolucją na Zachodzie, gdzie główną siłą — jak programował Marks — miały być młode proletariaty. Lelewel bardzo zbliżył się wówczas do poglądów marksistowskich, co nie znaczy, byśmy na siłę robili zeń marksistę, którym nie był.

— Jak Pan Profesor ocenia Sympozjum w Zaganiu?

— Lelewelska Sesja zorganizowana w Zaganiu miała czterech sponsorów: Instytut Historii Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu, Instytut Historii Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze, Międzyuczelniany Instytut Nauk Politycznych Uniwersytetu Łódzkiego (który ja min. reprezentuję) i Lubuskie Towarzystwo Naukowe w Zielonej Górze. Chcieliśmy wszyscy — organizatorzy i uczestnicy Spotkania — uczcić dwusetną rocznicę urodzin Joachima Lelewela; poważnie zastanowić się nad stanem wiedzy o tej postaci i ową wiedzę posunąć do przodu. Chyba to się nam udało. Colloquium pokazało cały szereg znanych spraw do tychczas życia i dzieła Lelewela w nowym świetle; pokazało też nowe treści, nieznane do tej pory. Poza tym Sesja uprzytomnia luki w stanie naszej wiedzy, wskazała, że są pewne problemy wymagające ponownej weryfikacji. Jednocześnie ujawniła się potrzeba z-

syntetyzowania wiedzy o Lelewelu. Połkosiem zagąńskiego sympozjum będzie tom materiałów wygłoszonych i nie wygłoszonych (niektórzy referenci nie przyjechali), jaki w najbliższym czasie ukaże się w Zielonej Górze. W czasie dyskusji padły głosy, by napisać dobrą książkę monograficzną o Lelewelu. Brak nam bowiem dzieła, które pokazałoby ogrom dorobku tego wybitnego człowieka w kategoriach polskich oraz „w związku, położeniu i postępie”, czyli na tle europejskim. Chyba trzeba będzie się przemyśleć do napisania takiej książki...

Głównym organizatorem Sesji była — z całym szacunkiem dla pozostałych mecenasów — zielonogórska WSP, gdzie istnieje małe, ale już znaczące w skali kraju, środowisko naukowe historyków. Dla każdego ośrodka ważna jest wymiana poglądów, dla niedużego szczególnie istotna jest możliwość szerszego zaprezentowania swego dorobku. Referaty kolegów z Zielonej Góry były bardzo dobre, znakomicie przygotowane, i sądzę, że po Sesji lelewelskiej — to środowisko humanistyczne, głównie historyczne, będzie się wyrażać rysowało na mapie naukowej Polski; tak, jak na to zasługuje.

W dzisiejszym świecie nie ma stolicy i prowincji. Są tylko uczeni, pracujący tu i ówdzie, a wybitne dzieła rodzą się tam, gdzie w sprzyjających warunkach może w pełni rozwijać się talent badacza.

— Dziękuję za rozmowę.

OPĘTANIE POLSKĄ

Z prof. dr Andrzejem Feliksem Grabskim z Uniwersytetu Łódzkiego rozmawia Małgorzata Kowalska-Masłowska

sposób uprawiania nauki? Dziś chodzą do biblioteki i zamawiamy kseroksy. Jeden ze współczesnych, bardzo wybitnych zachodnioeuropejskich historyków, zapytany parę lat temu, co było największą rewolucją techniczną w nauce XX wieku, odpowiadał, że nie był nim komputer, lecz kserograf, urządzenie, którego w czasach Lelewela nie znało. A jak pracował ten wybitny Polak? Gdy mieszkał w Brukseli i miał mało pieniędzy, co zdarzało mu się niezwykle często, odbywał długie, wielokilometrowe piesze wycieczki do zbiorów numizmatycznych rozmaitych aptekarzy, lekarzy i adwokatów, aby owe zbiory obejrzeć, przerysować monety albo robić ich odciski na specjalnym wosku do późniejszego przerysowania. Nieprawdopodobna była rzetelność pracy Lelewela. I choć czasy i metody się zmieniły, rzetelność powinna pozostać taka sama — w wypadku pracy uczonego, dziennikarza czy robotnika.

Lelewel łączył w sobie umiejętność analizy i syntetyzowania: wychodził nie raz od maleńkiego szczegółu, z którego — po „obudowaniu” — tworzył często dużą konstrukcję intelektualną. Jednocześnie wiązał z tym umiejętność widzenia przedstawionych spraw ogólnie, w kategoriach filozoficznych czy historycznych. Bez możliwości adekwatnej teorii nie ma możliwości budowania syn-tezy, a także nie można kusić się o syntezę, kiedy nie staże do jej budowy cegiełek-faktów. Koncepcja dziejów Polski Lelewela ma dziś znaczenie historyczne, chwilami razi swoimi przejawskawieniami, koncepcjami przyjętymi a priori. Ale pamiętać należy, iż Lelewel dał podstawy naszej historii społecznej, posługującej się teraz wielce skomplikowanymi metodami. Lelewel napisał swą syntezę społeczną, mam tu na myśli jego „Uwagi nad dziejami Polski i ludu jej” — z punktu widzenia „dolów” społecznych, rzeczywiście ludu. I jest to tekst genialny, nowatorski, który wszedł do świadomości wielu myślicieli polskich i europejskich.

wa wiedza. Oczywiście — jest to dyrektywa badawcza wciąż aktualna i dziś historycy postępują podobnie: starając się rozpatrywać dzieje poszczególnych państw czy narodów w powiązaniu z dziejami powszechnymi. Lelewelska dyrektywa nie utraciła nic ze swej aktualności.

W referatach wygłoszonych na Sesji zwracano uwagę, że Lelewel w swych badaniach nad historią Polski — i nie tylko — wykorzystywał ogromny zasób źródeł, w tym bardzo dużo pochodzenia obcego (był odkrywca wielu źródeł). Manifestowała się w ten sposób jego nowoczesność badacza.

W owym cytowanym motcie ważne jest zwrócenie uwagi na sprawę postępu: postęp był dla Lelewela doskonałym niem się człowieka społecznego. Oświeceniowy postęp był mechanistyczny, natomiast postęp lelewelski dokonał się dzięki aktywności człowieka. Ta koncepcja wiąże się z innym wątkiem poglądów Lelewela. Historyk w początkach emigracji po powstaniu listopadowym stawiał na rewolucję, która miała obalić stary porządek w Europie i po-móc Polakom odzyskać niepodległość. W ciągu kilku lat obserwacji ówczesnego podziemia politycznego Lelewel rozczarował się do pomysłów karbo-narskich, później nawet z nich sobie kpił. Mówił, że myśli o rewolucji jednocześnie w wielu miejscach Europy jest bar-dzo piękna, ale utopijna. Przestrzegając więc przed „zabawami ludzkości” — jak ich określał — gdyż idea ma moc i staje się siłą wtedy, kiedy opanowuje masy. Doszedł do przekonania, iż rewolucję może zrobić jedynie lud.

Po rewolucji krakowskiej 1846 roku, gdy nastąpił rozłam wśród demokratycznej emigracji i znaczna jej część, pod wpływem rządu galicyjskiego, zaczęła gwałtownie reterować w kierunku Ho-telu Lambert, Joachim Lelewel znalazł się w nielicznej grupie tych, którzy manifest z 22 lutego 1846 uznali za polityczne wyznanie wiary i podsta-



Reprodukcja: KRZYSZTOF MEŻYSKI

SLAWA MIJA — PRACA ZOSTAJE

Stanisław Świniarski

Inteligencja prowincjonalna, ta mieszkająca na wsi, w małych miasteczkach — jaka jest? Czy termin „inteligencja” na powszedni użytek został najlepiej pomyślany? A gdzie miejsce dla pojęcia „kultura”? Jaka zachodzi relacja między inteligentem a człowiekiem kulturalnym? Jak rozumieć rolę czołwki intelektualnej w miasteczku, wsi?

Obserwujemy niekiedy, ówczesne ambicje miasta, gminy, wsie. Poprawia się tam sytuacja socjalna mieszkańców, przybywa obiektów użyteczności publicznej, pulsuje życie umysłowe, nie brakuje ludzi do pełnienia ważnych ról w lokalnej społeczności. Nietrudno zauważyć, że dzieje się tak głównie za sprawą miejscowych luminarzy, absolwentów wyższych uczelni, czy po prostu osób cechujących się wysoką kulturą wewnętrzną, ogólną.

Ale nie możemy narzekać na nadmiar zbiorowości w ten sposób się organizujących. Proza życia jest raczej bezbarwna. Inicjatywy — o ile są — trąca dychawiczością. Zwykle mają charakter przedsięwzięć jednostkowych.

Nader często natomiast obserwuje się zgorzkniałość osiadłych i zatrudnionych na prowincji posiadaczy dyplomów wyższych uczelni. „Frustrowanie się” z powodu stosunkowo niskich poborów, a więc i z powodu stosunkowo niskiej pozycji społeczno-materiałnej daje się jakoś wytłumaczyć; tylko nie jest to wcale początek i koniec świata.

Widać coraz wyraźniejszą troskę państwa o tych, którzy decydują się „funkcjonować” z dala od centrów miejskich, przemysłowych. Wymienić należy przynajmniej trzy bezdyskusyjne pożytki: znaczne bezzwrotne zasiłki na zagospodarowanie się na początku kariery zawodowej, wyraźnie łatwiejszy dostęp do dużego przyzwoitego mieszkania i dużo większy niż w wielkich aglomeracjach szacunek otoczenia, dawany od razu, na kredyt niejako.

Dotyczy to głównie lekarzy, nauczycieli, specjalistów rolnictwa, lecz można powiedzieć, iż dotyczy w zasadzie tych wszystkich absolwentów uczelni, ówczesnych praca zawodowa na danym terenie oceniana jest jako niezbędna. Jasne, że owe przywileje, w sumie, nie za-

wsze stanowią równowagę mirażu wielkomiejskich, nawet w zdecydowanej większości przypadków nie mogą się równać z faktycznymi urokami metropolii, lecz tyle, ile na razie władze centralne, lokalne, przedsiębiorstwa po-trafiają zaoferować, to jest maksimum, i jest to wcale mało. Z drugiej strony — nie da się wyżej dźwigać całej Polski bez wspierania mniejszych skupisk ludności.

Czy da się gdzieś w głębokim terenie stworzyć warunki zupełnie takie, jak w Warszawie, Poznaniu, Zielonej Górze? Na pewno nie. Na pewno nie — w każdym razie w zakresie szerokości i różnorodności dostępu dzieci do szkolnictwa średniego i akademickiego. Nie jest to wszak powód do darcia szat. Absolutny egalitaryzm zaliczyć trzeba do mrzonek. Rzecz tylko w tym, aby najpełniej wykorzystywać istniejące konkretne warunki do awansu cywilizacyjno-bytowego i do awansu osobistego — profesjonalnego, społecznego, kulturalnego.

W takim kontekście niepokoją narzekania dużej części prowincjonalnych inteligentów (ze słowem „prowincjonalny” nie kojarzą tutaj żadnych pejoratywnych momentów), próby szukania usprawiedliwień dla zamykania się w sobie, dla pozostawiania na uboczu ważnych spraw, jakie się dzieją i tych, które dzieć się powinny. Niemal każdy w pełni sprawny, a już na pewno młody magister jest w stanie odczuwalnie poprawić swoją pozycję społeczną, zawodową, nawet materialną, jeśli i z siebie zechce coś więcej dać, oczywiście w sposób przemysłany, zgodnie z interesem otoczenia.

Ani fochy, ani odczekiwanie, ani mniemanie, iż jacyś „oni” komuś tak wspinałemu nogi umyją i wodę z miednicy jeszcze wypiją, na nie się nie zda. Nie ten czas i zbyt wysoki ogólny poziom wykształcenia środowiska. Niekiedy niedostatek szacunku do dyplomu bierze się stąd, że pod adresem jego posiadacza kierowane są oczekiwania wyższego rzędu.

Czego innego spodziewa się od inżyniera, nauczyciela po studiach starszy

chłop ze „skrótownym” podstawowym wykształceniem, czego innego technik-rolnik czy absolwent liceum ogólnokształcącego. Rozstać się też należy definitywnie z błogim przekonaniem, że dyplom uczelniany sam przez się już kogoś nobilituje.

Przed wszystkim od ludzi najbardziej wykształconych oczekuje się, iż poprowadzą środowisko do świata cię-kawszego, wygodniejszego. Od nich winny wychodzić mądre, pożyteczne inicjatywy i oni mają największy obowiązek pilnowania konsekwentnego realizowania pomysłów, przyjętych zadań. Nie wątpliwie zasadnicze znaczenie ma osobisty przykład. Ambicją absolwenta wyższej uczelni, choćby dla spłacenia zdobytej wiedzy, powinna być chęć wzbogacenia wsi, miasteczka o coś nowego. Jakże się godzi na bierność stanowiącą tylko z tego, co stworzyło starsze pokolenie?

Dzisiejsi 50-, 60-, 70-latkowie dokonali wiele. Zasluguja na szacunek, na spokojny, życiowy relaks. Czy w rozwoju społecznym, szczególnie gospodarczym naszego kraju zrobili wszystko, co powinni i mogli? Na pewno nie, ale zrobili bardzo dużo, a warunki mieli wyjątkowo niesprzyjające.

Dokonali niewątpliwie czynów heroicznych na polach walki w okresie ostatniej wojny i podczas ofiarnej pracy w pierwszych latach ludowej niepodległości. Dzięki ich wyuzeczeniu spieramy się dzisiaj, dyskutujemy, eksperymentujemy, obrzucamy się preten-sjami, lecz — mimo dowcipkowania niekiedy — wadzymy się syć i w znośnych, w sumie warunkach mieszkaniowych, ogólnocywilizacyjnych, aczkolwiek daleko nam do zadowolenia.

Nie dorównamy już (i obymy nigdy nie musieli takiej próby podejmować) naszym dziadom i ojcom w dziedzinie waleczności, ale mamy obowiązek wynieść się wyżej niż oni w dziedzinie ekonomiki, wartości duchowych. Do tego niezbędny jest kult, wszędzie, gospodar-ności, solidności, nieustannej, mroźce roboty. Tego rodzaju sukcesy ogromnie ucieszyłyby naszych drogiej seniorów.

... siła sławy wojennej niknie z każdym rokiem pokoju. Siła pracy narodu trwa poprzez wszystkie ustroje, zawie-ruchy, wojny. Sława pierzcha. Praca pozostaje.” (Edmund Osmańczyk w książce „Sprawy Polaków”. Wyd. „Słask” 1986). No, ale kto ma dać przykład? Kto ma społeczności prowadzić aktywnie ku coraz lepszemu? Żeby jednak ciągle i możliwie szyb-

ko wnosić do społeczeństwa dobro, nowoczesność, wysoką skuteczność we wszystkich ogniskach naszej zbiorowej i indywidualnej działalności, trzeba dawać schematy myślowe, przyzwyczajenia. Najbardziej do tego predestynowani są ci z nas, najlepiej wykształceni. Pewnie, że najłatwiej trzymać się z boku i oceniać...

W świetle praktyki społecznej jawi się konieczność innego podejścia do pojęcia inteligencji, w rozumieniu określonej populacji osób posiadających wysze wykształcenie. Wydaje się — odczuć takie jest coraz częściej akcentowane — że dzisiejszy inteligent to raczej człowiek dysponujący wąskim przygotowaniem profesjonalnym na dość wysokim poziomie. W potocznej opinii nie wszyscy z wyższymi kwalifikacjami za-wodowymi, nie wszyscy z prawem używania przed nazwiskiem skrótu „mgr” czy podobnego, zasluguja na miano in-teligentów.

Nie wszyscy bowiem wykazują odpowiednio wysoką kulturę ogólną, nie wszyscy cechują się nawet kulturą osobistą, niezbędną w codziennych kontaktach ze współpracownikami, współobywatelami. Nie da się też zawsze stwierdzić szerszego zainteresowania typem kulturalnym, jak ciążenie do obcowania z książką, czasopismami, instytucjami upowszechniania dóbr duchowych. No i wtedy trudno się spodziewać „wyższych” dążeń, aspiracji (nawet tylko za-wodowych), wyobraźni, która wyzwalałaby chęć zbliżania się do odległych horyzontów cywilizacyjnych.

Teoretycznie — na prowincji i nie tylko — mamy dużo inteligencji (blisko dwa miliony osób), a w rzeczywistości jest jej, jeśli oceniać po efektach i prezentowanym stylu życia, znacznie, znacznie mniej, żeby nie rzec — niewiele. Proszę rozejrzeć się wokół: czy całkiem mijam się z prawdą? Stwierdzenie dla siebie tylko? Żeby zdobyć „przepustkę” do czegoś „papieru”? Łatwiej uchodzić za typowego „Inteligenta”, niż za człowieka kulturalnego, dobrze wychowanego, twórczego.

Należyte wychowanie niesie ze sobą poczucie odpowiedzialności, odpowiedzialności za innych też. Któżby się nie obraził, z utylitowanych przez uczelnię, gdyby mu o tym powiedzie? Rzeczywistość jest jednak nie najwesoła. Bar-dzo wielu wykształconych ludzi broni

się przed podejmowaniem odpowiedzialności. Mało jest zainteresowania przyjmowaniem ważnych funkcji kierowniczych, wiodących, „dowodzących” da-jących szansę poprawiania świata.

Społeczność prowincjonalna liczy na magistra (prawda, że tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, raczej nie usłyszysz doktora), że on zaradzi, pomoże, poprowadzi, a magister miewa pretensje, iż „oni” problemów nie rozwiązują i jemu się żyje ciężkawo. Dziwi się ten i ów, dlaczego mu gotowizny na rękach nie przynoszą. Postawa tego typu jest za-bardzo rozpowszechniona.

Niektórzy próbują, szczególnie młodych, usprawiedliwiać. Wyszli ze wsi i na nią wrócili. Całe otoczenie — acz okazuje sięczyliwść — intelektualnie ciągnie absolwenta „w dół”, do swojego poziomu. Nie każdy ma siłę, żeby się odbijać, na szeroką wodę, i żeby środo-wisko prowadzić z sobą. Wymaga to męstwa, gdyż często liczyć trzeba głównie na siebie tylko.

Odnosi się wrażenie zatem, iż na prowincji jest coraz więcej ludzi wykształconych na poziomie wyższym, jest ich nawet dużo, ale ciągle wśród nich bardzo mało inteligentów, inteligentów z prawdziwego zdarzenia, bogatych kulturalnie. „Udyplomowani” nader często czują się wystraszeni, niedocenieni, stylem życia i szczególnymi zainteresowaniami kulturalnymi się nie wyróżniają. Wobec wielu środowiskowych problemów są tak bezzadni, jak ci, co o studiach tylko słyszeli. Znajdują się czę-sto w stadium czekania na coś, na odmianę, na lepsze, na pocieszenie z dnia nika telewizyjnego, na pomyślniejsze de-cyzje jakiejś władzy. A przecież „To nie świat obiektywny powinien dziś tworzyć człowieka, to człowiek musi kształtować świat obiektywny (...)” (z postawia Bogdana Suchodolskiego do książki Joanny Koniecznej i Andrzeja Wieluńskiego „We własnych oczach”, W-wa 1986).

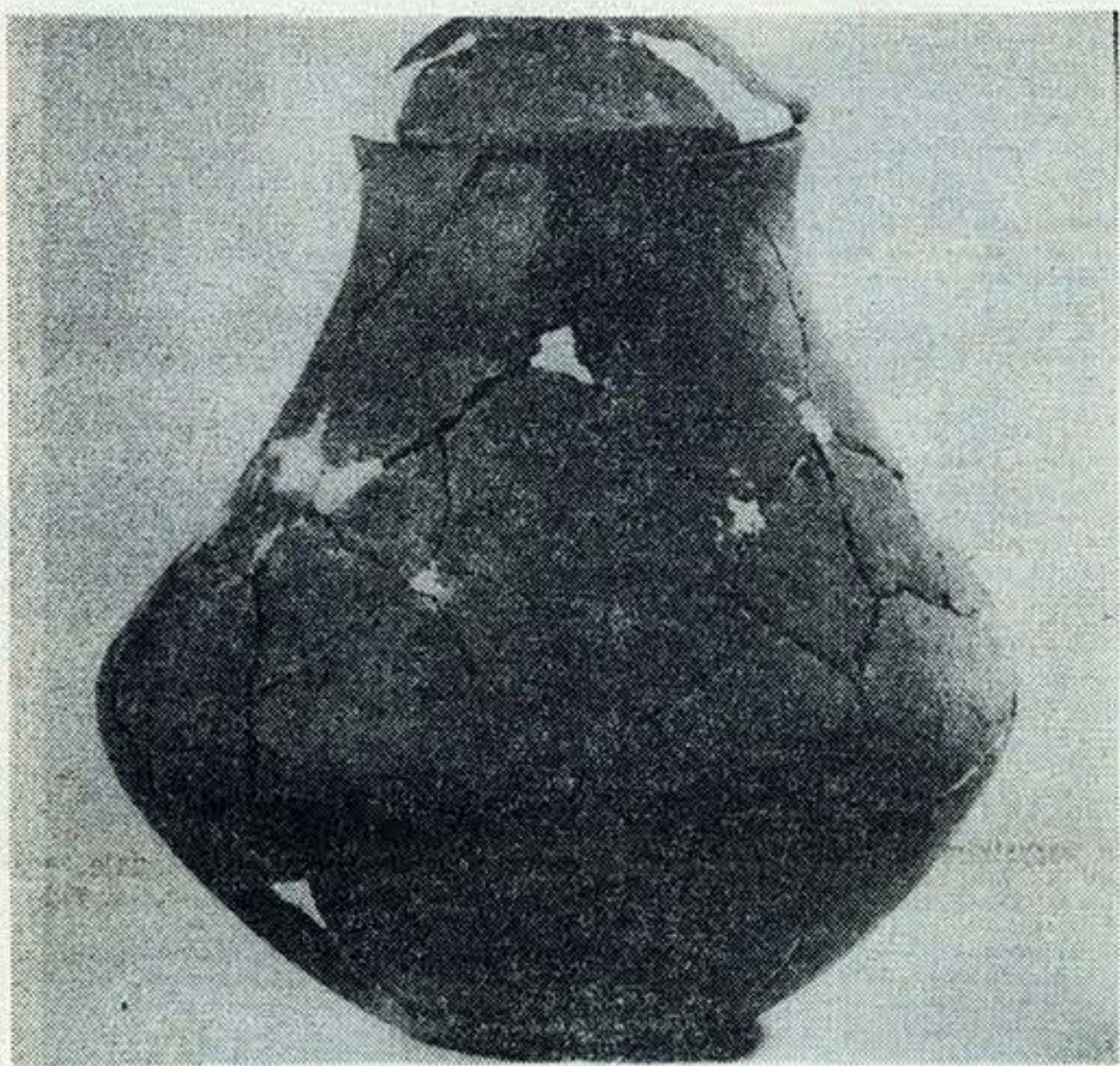
Nieraz paroletni pobyt w ośrodku uniwersyteckim jest jakby zmarowniany. Czy tak musi być? Czy usprawianianie, wzbogacanie życia małych społeczności lokalnych, miejskich, gminnych może się odbywać bez światłego, racjonalnego atakowania zmurzonych struktur, nawyków, niekompetencji, niejednokrotnie nawet maskowanej cenzurem zwyczajnej ciemnoty?

Ciąg dalszy ze str. 1

bo i dachówki trzeba było szukać, no i prywatna inicjatywa nie ma możliwości, by z tym dachem wielkim coś lepiej zrobić. Miał się zwać jeden i drugi kościół? To już lepiej było ten nowy ocalić... Myślny tego nie zrobili, ani inni sąsiedzi, a ci co nie mieli nic do stracenia, to tak szukali i dewastowali... Pannie, już niejedne takie młode przychodziły za zabytek i za zabytek! I co się dzieje z tymi zabytkami?... Biskup Urban, jak tu był, to powiedział, by budynek trochę zakonserwować, niechby już stał jako stary kościół, że to niby kiedyś była budowla i coś wartowała... Żeby nie lato się do niego. Jak się leje, to wszystko jeszcze długo może stać... Teraz to tam już nie psują, bo to niebezpieczne. Może coś się na tęg zwalić...

Z szarych ściennych obdartych plam wylaniają się zarysy malarstwa. Cudowne malarstwo średniowieczne. Na resztkach zachowanego sklepienia, jakby na wiadomość potomnym, zarys Chrystusa Bolesłowego... Widzisz tę rękę, ten łokieć, który wystaje na tym czarnym tle... i tam na górze dalej?... Tu mamy resztki sceny Ukrzyżowania... Trzeba przypuszczać, że cały kościół

bytków. Praktyka polega na tym, że oprócz znakomitych specjalistów, oprócz ludzi, którzy zajmują się tą sprawą w gabinetach i na deskach kreślarskich, są grupy robotników pracujących bez właściwego nadzoru. Skutki są katastrofalne i odwrotne do zamierzonych. Tu w Witkowie przy okazji remontu doszło do dalszych zniszczeń. To okno po prawej stronie zostało wmurowane zanim zaczęto dźwigać na górę cegły, zaprawę i narzędzia. Z okrutną systematyką obłuczono renesansowe gzymsiki i detale. Reiner prowadzi swoisty katalog bezpowrotnych zniszczeń. Do wyjątkowo cennych malowideł wewnątrz wieży dostrzegł każdy. Obiekt stał otwarty a liczba ciekawskich jest ogromna. Scienne dzieła przykryte są gaza — ludzie chcą zobaczyć, co się pod nią kryje, zdejmali malowidła wraz z tkaniną... W wykopie archeologicznym jeszcze do dziś leżą odłamki kamieniarki wrzuconej tu brutalnie. Pracownicy — zapewne w wolnej chwili — postanowili poszukać skarbów! Przekopali więc we własnym zakresie część dołu, rozwalając przy okazji sklepienia piwniczne. Szukając swych skarbów zniszczyli bezpowrotnie nawastrwienie kulturowe. Teraz grupa archeologów „karmiona jest bigosem” skurup od XVII wieku w dół... Trudno miejscowym tłumaczyć, że mają wyjątkowo cenne obiekty, gdy sami widzieli jak obchodzono się z nimi...



Fot. Archiwum

był w średniowieczu pokryty malowidłami. Niestety, tu są już gołe ściany. Tynk poodpadał. Nawet jeśli teraz zrobiono by błyskawiczną akcję, to można przypuszczać — bo wystarczy jeden ulgowy deszcz, mroźna zima, by zrujnować całość — nie uratujemy już wszystkich fresków.

Może w tej chwili deptamy po nich? A-tu kolejny przykład niemieckiej piękności. Nagrobna płyta rycerska z XVI wieku. Do niedawna w stanie idealnym, ale nie ma żadnego zabezpieczenia. Odbijają się libacje. Ktoś wymalował na czarno genitalia rycerza. Na rękach i nosie „ofiary” pozostały trwałe ślady za wodów rzućcia do celu...

Mieszkańcy Witkowa: — „Jednego roku zajechali. Wie pan, tam był dzwon. Zajechała do dnia ekipa, z zaświadczeniem nawet z województwa, z pieczęciami i my tam byli. Nie chcieli tego dzwona dać. Powiedzieli — co chcecie?! — Z ewangelickich kościołów mamy prawo zabrać dzwony! Przecież to katolicki kościół był kiedyś! On mówi: Co chcecie?! Tam w nowym macie trzy dzwony! Co to się nie działo. Dzwon z góry zrzucili, ale się nie rozbił. Na samochód wrzucili. To tak wyszło... Specjalnie do dnia przyjechali, żeby nie było szumu w wiosce. Sołtysa i sekretarza partii wezwali. Jakoś to tak do dnia wyszło i bez okna zdjęli... Upadł. Gyby na płask upadł, to by się rozbił może. Na trawę upadł. Czołem... Jeszcze za księdza Drencena ja dzwonił, aż mnie w boku tuło, tak silnie, wielkie dzwony były. Dwadzieścia pięć minut trzeba było dzwonić...”

Wieża rycerska to także swoista dokumentacja zniszczeń. Innego rodzaju tym razem. W majestacie państwowej firmy Ton opowieści Reiner nie zmieniła się. Jest nadal pozornie beznamiętny. Poglębia to moje przygnębienie. Krzysztof nie może już milczeć i dodaje swoje uwagi. Witkowie pilnie patrzyli na ręce zatrudnione do ratowania zabytku. Oto ktoś „zaplanował” wykopanie wokół fosy. Żeby ładnie wyglądało. Państwowe Przedsiębiorstwo „Pracownie Konserwacji Zabytków” są instytucją statutowo powołaną do ratowania, rekonstrukcji, odnawiania za-

ca. Międzynarodowe Stowarzyszenie Studentów Architektury przysłało do Witkowa różnorodną ekipę. Pracują.

Edward z Holandii: — „Przyjechałem głównie po to, by poznać życie Polaków. Rysuję w Witkowie te wszystkie wspaniałe detale. Chciałbym w przyszłości zająć się u siebie restauracją zabytków...”

Anna z Hiszpanii: — „Rysuję codziennie i czuję się wspaniale. Uczę się dokładnie techniki ochrony zabytków...”

Anna Maria z Finlandii: — „Ta architektura jest dla mnie bardzo ciekawa, bo w Finlandii mieliśmy głównie drewnianą. Prawie nic z tego nie zostało. Chcę się napatrzyć na stare, murywane budynki. Może to śmieszne...”

Arcz z Tajlandii: — „Doskonały mój warsztat, ale przede wszystkim poznaję egzotyczny kraj i ludzi. To cudowne...”

Co zmieniło się w kościele? Trochę więcej malowideł odkryły padające deszcze, ale mimo wszystko Reiner nie rezygnuje. Udało się zebrać konsylium ekspertów. Kościół winien być odbudowany i użytkowany przez wiernych. Tak twierdzą naukowcy i władze państwa. Podjęto starania u gorzowskiego biskupa i samego Prymasa. Na razie najchłodniejsza jest reakcja... miejscowe gołkiesza.

Niektórzy w dość dziwny sposób odbierają tu pracę niemieckiego archeologa. Reiner doskonale o tym wie. Traktuje to jak wszystko — z pełnym spokojem. Czas działa na jego korzyść. Nie boi się także rozmawiać o „trudnych” sprawach.

— Ja już długo żyję w Polsce. Bo ja tu żyję, a nie przebywam. Pozostałem i walczyłem o swoją pozycję w najtrudniejszych latach osiemdziesiątych... A historia? Przecież to była wspólna historia — mówi z uśmiechem, jakby przebudując o czym chce teraz pogadać. — Czy była to zawsze historia przyjaźni, czy raczej konfliktów, pozostanie wspólną. Tego się nie wypreymy po żadnej ze stron Odry. To wspólna historia, wspólne oddziaływanie... Staram się dać wyraz moim przekonaniom, że historia polsko-niemiecka jest jakby zarażona wirusem wydarzeń od 1850 do 1950 roku. Właściwie można by to zakończyć na 1945 roku, ale przecież silnie reaguje się na to, co boli... Boli — to za małe słowo... Wiele wydarzeń było raczej reakcją na silne antagonizmy niemiecko-polskie, na agresję faszystowską. Jeżeli jednak chcemy jako Niemcy i Polacy mieć wspólną szansę, to powinniśmy ją wspólnie wypracować... Bardzo się ucieszyłem, kiedy właśnie we Wrocławiu nawiązał do tego Papież... Jest pomysłką stwierdzenie, że historia polsko-niemiecka zawsze była historią antagonizmów. Mam tu osobiste doświadczenia. Moja żona jest Polką, ale przecież decyzja o miejscu zamieszkania mogła być inna...

Teraz rozmawiamy w Witkowie. To jest Śląsk.

— Ja nie dyskutuję na temat przynależności Śląska, bo ona jest ustalona od czterdziestego piątego roku. Przecież my musimy odrzucić wzajemnie masę uprzedzeń, które każą nam patrzeć na historię wyłącznie z punktu widzenia jednej narodowości. Tu jest jedna ze stref buforowych. Jest ich na świecie bardzo wiele. To wcale nie dotyczy tylko Niemców i Polaków. Trzeba wreszcie zadać sobie sprawę, że to jest normalne i jednocześnie arcydziwne dla mnie jako naukowca. Zresztą historycy nie rzecz biorąc, nie jest to tylko sprawa ściśle polsko-niemiecka. Pamiętamy o Czechach, które mają tu swój ogromny udział. Współcześnie Śląsk zmienił swą rolę — miast być kością niezgody jest pomostem... Dzięki temu i ja tu jestem.

MACIEJ SZAFRĄŃSKI

P.S.: Jest rok 1986. Cały czas w Witkowie dokonywane są ciekawe odkrycia. Odnaleziono na przykład kafle piecowe i kamieniarkę, porównywalne z najwyższej klasy rzemiosłem. Mieszkali więc tam ludzie zażemni, kierujący się wyrafinowanym gustem. Otwierane są kolejne wykopy archeologiczne. Dokończono remont wieży. Na miejscu jest społeczny opiekun zabytków, który zamieszkał w wieży. Politechnika Wrocławska w dalszym ciągu nie rezygnuje z badań. A kościół? Pieniądże na remont dachu już były, jednak nie znaleziono wykonawcy. Poza tym, jednym z niewielu, któremu dane było obejrzeć jeszcze malowidła. Szkoda, że nie miałam kamery...

Na początku, mam na myśli pierwsze lata powojenne, plastycy — profesjonalści i amatorzy razem współorganizowali życie kulturalne, głównie w Gorzowie i Zielonej Górze.

W latach 1948—49 odbyły się trzy duże wystawy plastyczne, w których brali udział prawie wszyscy profesjonalści i kilku amatorów, m.in. Włodzimierz Korsak, Józef Markiewicz, Edmund Wiczeorek. Z inicjatywy pionierów powstała „Grupa zielonogórskich artystów plastyków”, kabaret „Zielony kot” i, co jest zrozumiałe, zaczęły się podziały na amatorów i zawodowców. Uwidocznili się one jeszcze bardziej po roku 1953, kiedy do Zielonej Góry przybyli na stałe absolwenci wyższych szkół plastycznych,

rowca, Władysław Galicki — obserwator meteorologiczny, Zbigniew Jarczewski — lekarz, Józef Kawalec — masarz, Henryk Kowala — muzyk, Ryszard Kuczyński — spawacz, Aniela Nowak — pielęgniarka, Bolesława Si darska — księgowa, Zbigniew Styka — inżynier budowlany, Józef Szyko — stolarz, Ludwik Błaszczyk — inżynier elektryk. Niektórzy ukończyli studia plastyczne, pedagogiczne, zdobyli kwalifikacje instruktorów plastyki, pracując w domach kultury i świetlicach zakładowych. Uprawiają wszystkie dziedziny plastyki, najczęściej malarstwo, grafikę, metaloplastykę, kowalstwo.

Na co dzień plastycy amatorzy tworzą w swoich mieszkaniach lub pracowniach placówek kultury. Pod koniec lat siedemdziesiątych Urząd Miejski w Zielonej Górze oddał do ich dyspozycji pomieszczenia przy ul. Wyspiańskiego, gdzie m.in. urządzono pierwszą galerię plastyki nieprofesjonalnej.

Nieprofesjonalści

tworząc w maju 1954 r. delegaturę Związku Polskich Artystów Plastyków. Od tego roku ten podział jest wyraźny, po dziś. Zresztą, identyczna sytuacja była i jest w środowisku literackim, które zorganizowało się nieco później.

Amatorzy — ludzie etatowo związani z instytucjami wojewódzkimi, organizacjami społecznymi, fabrykami, dość szybko nawiązały kontakty ze związkami zawodowymi. Ówczesne związki, bogate, chętnie popierały wszelką twórczość artystyczną, organizując wystawy i plenery, fundując stypendia, opłacając podróże. Mimo tej związkowej pomocy plastycy nieprofesjonalni czuli się osamotnieni, po zbawieniu szerszego zainteresowania swoją działalnością. Dlatego też w 1961 r. Lubuskie Towarzystwo Kultury powołało Sekcję Plastyki Amatorskiej LTK. Motorem wszelkich działań w tej mierze był dyrektor Oddziału Wojewódzkiego Zakładu Ubezpieczeń Społecznych Józef Markiewicz, przez ponad 20 lat przewodniczący Sekcji. W przyjętym regulaminie czytamy: Do zadań Sekcji Plastycznej LTK należy: propagowanie i rozpowszechnianie wśród społeczeństwa sztuk plastycznych; reprezentowanie amatorskiego ruchu plastycznego wobec władz terenowych i centralnych; organizacja na terenie kraju; inicjowanie, organizowanie wystaw zbiorowych i indywidualnych, pomoc przy organizowaniu wystaw, zakładanie i prowadzenie bibliotek, zarządzanie zebrań dyskusyjnych, zjazdów, odczytów, wydawanie katalogów; współpraca z radiem, prasą, telewizją i filmem; inicjowanie, organizowanie oraz współdziałanie w sprawach wymiany kulturalnej z innymi województwami i organizacjami zagranicznymi; organizowanie zaopatrzenia materiałowego dla członków ognisk plastycznych; udzielanie pomocy materiałowej oraz opieka nad członkami Sekcji Plastycznej LTK i ognisk plastycznych. Z perspektywy lat widać, że nie był to program na wyrost, gdyż wszystko, co jest w nim zawarte, znalazło odzwierciedlenie w pracach Sekcji.

Obecnie do Sekcji należy 146 amatorów, skupionych w 11 ośrodkach. Większość to mieszkańcy województwa zielonogórskiego, ale jest i wielu gorzowian, legnickich, leszczyńskich. Niektórzy, nie zrywając z Sekcją, otrzymali status plastyków profesjonalnych. Stanisław Para, chyba jeden z najaktywniejszych grafików, uznawany jest za czołowego twórcę ekslibrisów w naszym kraju. Niebawem nastąpił zjazd egzamin przed komisją ministerialną, co powiększy skromne liczebnie zielonogórskie środowisko plastyków profesjonalnych. Wśród członków Sekcji są ludzie bardzo młodzi i emeryci, mieszkańcy Zielonej Góry i Jasienia, Łagowa oraz wielu miasteczek Ziemi Lubuskiej, ludzie różnych zawodów, na przykład: Leon Adamczak — piekarz, Elżbieta Balicka — nauczycielka, Władysław Czarnecki — mechanik, Bogusław Dziewa — kie-

rowca. Systematycznie raz w miesiącu zarząd Sekcji organizuje spotkania konsultacyjne z artystą plastykiem. Służą one analizie stworzonych prac, ukazywaniu błędów technicznych, formalnych, usuwaniu usterek. Kiedyś odbywały się odczyty z udziałem krytyków sztuki, artystów plastyków, dziennikarzy. Są organizowane plenery plastyczne, konkursy, wystawy. Wiele prezentacji odbywa się na Ziemi Lubuskiej, ale i na terenie kraju, a nawet za granicą. Od 1969 r. odbywają się wystawy plastyki nieprofesjonalnej ziem nadodrzańskich. Dotąd w ćwierćwieczu zorganizowano około 500 wystaw indywidualnych. W 1965 r. kilka szkół — pomników 1000-lecia Państwa Polskiego — otrzymało w darze prace plastyczne, którymi ozdobiłoby ściany sal lekcyjnych i korytarzy. Z okazji 40-lecia szkolnictwa polskiego na Ba bimojszczyźnie Sekcja przekazała nauczycielom babimojskim i działaczom byłego Związku Polaków w Niemczech kilkadziesiąt obrazów olejnych i akwarel. Organizowano aukcje prac, a pieniądze uzyskiwane w ten sposób przekazywano na Centrum Zdrowia Dziecka i na Narodowy Fundusz Ochrony Zdrowia. Wspominam tylko niektóre fakty, przywołuję niektóre nazwiska. Wydany z okazji 25-lecia Sekcji katalog zawiera dokładną kronikę wydarzeń.

Jeśli dziś patrzymy na społeczny ruch kulturalny nieco z przymrużeniem oka, to na pracę tej Sekcji zwracamy uwagę. Nie ma bowiem w Lubuskim Towarzystwie Kultury drugiej takiej grupy, która znacząco tyle, ile plastycy amatorzy.

Zastanawia mnie, dlaczego ci robotnicy, lekarze, nauczyciele, emeryci pracują bezinteresownie, kiedy wszelka działalność społeczna jest dziś nie modna. Przecież nie mają z tego żadnych korzyści materialnych. Obrazy amatorów nie mogą być sprzedawane w galeriach PSP, Sztuki Polskiej, De sy. Profesjonalści, mimo uprawnień, mają trudności w nabyciu farb, werniksów, płótna, a bez tego nie mogą wykonywać swojego zawodu. Jeszcze większe trudności mają nieprofesjonalni, a każdy chciałby malować farbami talensia, pastelami crayon, sprządać swoje prace drogą, nawet za dewizy. Do namalowania obrazu olejnego średniej wielkości artysta plastyk potrzebuje materiałów za około 10 tysięcy złotych. Sądzę, że tylko sam amator. Profesjonalista sprzeda swoją pracę, czasem dość drogo; amator jeśli uzyska dochód to równy kosztom.

W środowisku plastyków amatorów, nie pozbawionym przecież naturalnego poczucia konkurencji, nie ma w zasadzie konfliktów, waśni ani też pretensji. Sztuce zaś obojętne jest, czy powstały obraz został stworzony przez malarza z dyplomem akademickim, czy też takiego, który dochodził do niego samodzielnie pracą.

ALFRED SIATECKI

Konkurs na wiersz o motywach winobraniowych rozstrzygnięty

Został rozstrzygnięty konkurs na wiersz o szeroko pojętej tematyce winobraniowej, ogłoszony z okazji 25-lecia Zielonogórskiego Oddziału Związku Literatów Polskich przez Lubuski Komitet Upowszechniania Prasy, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego, Lubuskie Towarzystwo Kultury oraz redakcję „Nadodrza”.

Jury w składzie: Janusz Koniusz — przewodniczący oraz Zenon Łuka szewicz i Krzysztof Pacewicz — członkowie, na posiedzeniu w dniu 6 października br. po zapoznaniu się z 28 zestawami wierszy lub pojedynczymi utworami, postanowiło nie przyznać I nagrody.

Laureatami dwóch drugich nagród zostali: Danuta Kuleszyńska z Zielonej Góry i Zbigniew M. Jelinek z Książa Śląskiego. Trzy równorzędne trzecie nagrody otrzymują: Zenon Czarnecki z Zielonej Góry, Dariusz Muszer ze Strzelca Krajeńskich oraz Andrzej Jakub Mularczyk z Lubina, woj. legnickie.

Wyrażenia przyznano: Mieczysławowi J. Warszawskiemu z Zielonej Góry, Bogdanowi Grabowskiemu z Gorzowa Wlkp., Gustawowi Łapszyńskiemu ze Świebodzina (dwukrotnie), Kazimierzowi J. Furmanowi z Sanocka k. Gorzowa Wlkp. i Annie Bartkowskiej z Nowej Soli. Wszystkim laureatom serdecznie gratulujemy.

Pokojowe posłanie katolików

Troska o pokojowe współistnienie narodów oraz powstrzymanie zbrojeń nuklearnych obejmuje wszystkie kręgi polskiego społeczeństwa. Na początku października w Zielonej Górze spotkali się członkowie Społecznego Towarzystwa Polskich Katolików, działającego przy Kościele Polskokatolickim w PRL. Do sali kolumnowej Urzędu Wojewódzkiego przybyli liczni członkowie oddziałów terenowych STPK z Wrocławia oraz Zielonej Góry i Gorzowa. Debatę na temat problemów zachowania pokoju poprzedziła msza św., celebrowana w intencji pokoju i Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej przez ordynariusza diecezji wrocławskiej Kościoła Polskokatolickiego biskupa — elektę Wiesława Skołuckiego w asyście duchowieństwa. Następnie złożono kwiaty przed pomnikiem Braterstwa Broni na placu Bohaterów.

Sesję prowadził ks. mgr Władysław Puszczyński, dziekan Zielonogórski i Lubuski Kościoła Polskokatolickiego w PRL, który w wstępie przedstawił trzy bardzo ważne dokumenty, określające stanowisko chrześcijan wobec węzłowych problemów, związanych z zachowaniem światowego pokoju. Są to dokumenty, przygotowane w ostatnim czasie i całkowicie aprobowane zarówno przez Polską Radę Ekumeniczną, której członkiem jest Kościół Polskokatolicki, jak i przez wszystkich chrześcijan na świecie.

Jednym z tych dokumentów jest „Oświadczenie w sprawie rozbrojenia i pokojowego współistnienia”, złożone przez Komitet Roboczy Chrześcijańskiej Konferencji Pokoju, obradujący w marcu br. w Sofii, a zwracające szczególną uwagę na problemy, jakie

stoją przed ludzkością w bieżącym roku, ogłoszonym przez ONZ jako Międzynarodowy Rok Pokoju. W „Oświadczeniu” tym czytamy m.in.: „...należy wysoko ocenić konkretne propozycje radzieckie, przedstawione przez sekretarza generalnego Komitetu Centralnego KPZR Michaiła Gorbaczowa z dnia 15 stycznia 1986 r. Propozycje te w pełni korespondują z naszymi nadziejami i modlitwami (...) Zgodnie z duchem spotkania w Genewie propozycje z dnia 15 stycznia 1986 r. ukazują sposoby osiągnięcia pokoju w świecie przez wyeliminowanie broni nuklearnej i chemicznej najpóźniej do 2000 roku oraz zredukowanie broni konwencjonalnej. (...) Wyrażamy przekonanie, że zdrowy rozsądek i dobra wola ludzi zatriumfuje nad duchem szaleństwa i wrogości. Trwały, sprawiedliwy pokój musi stać się własnością ludzi, którzy go pragną, pokój, w atmosferze którego każdy będzie prowadził życie godne człowieka — Korony Stworzenia. W imieniu wyznawców wszystkich religii w naszym kraju, my, zwierzchnicy Kościołów i wspólnot religijnych, uważamy za moralny obowiązek zaangażować po bratersku do przywrócenia religijnych i wiernych na całym świecie, aby poparli propozycje Michaiła Gorbaczowa, ponieważ odpowiadają one, o czym jesteśmy przekonani, wspólnym interesom i dobru wszystkich narodów oraz że są w stanie doprowadzić do faktycznego bezniebezpieczeństwa dla wszystkich narodów, do wzajemnego zrozumienia, zaufania, harmonii między Północą i Południem, Wschodem i Zachodem...”

Drugim dokumentem, przedstawionym przez ks. W. Puszczyńskiego, jest „Apel zwierzchników Kościołów chrze-

ściańskich i wspólnot religijnych w ZSRR do ludzi wierzących całego świata”. Czytamy w nim m.in.: „My, zwierzchnicy Kościołów chrześcijańskich i wspólnot religijnych w Związku Radzieckim, kierujemy ten apel do Was, wyznawców różnych religii na świecie. Wyrażamy wolę milionów buddystów, chrześcijan, judaistów i muzułmanów w naszym kraju na rzecz trwałego, sprawiedliwego pokoju między narodami w tym najbardziej krytycznym okresie historii, który może stać się punktem przełomowym całej rodziny człowieczej.”

I wreszcie trzeci dokument, to pismo skierowane przez Ogólnopolski Komitet Pokoju na ręce ks. bp. Wiktora Wysoczańskiego prezesa Społecznego Towarzystwa Polskich Katolików, w którym inicjuje się międzynarodową kampanię pod hasłem „Milion minut dla pokoju”.

Uczestnicy i duchowieństwo uczestniczące w sesji jednogłośnie poparły te ważne dokumenty, podejmując stosowną rezolucję. „Do niedopuszczenia do totalnej zagłady życia jesteśmy zobowiązani wszyscy — wierzący i niewierzący, bez względu na światopogląd, wyznawaną religię czy przynależność wyznaniową lub kościelną” — czytamy w tej uchwale. Wezwano w niej do poszanowania pokoju na świecie, wzmocnienia wysiłków na rzecz jego zachowania, podkreślając nienaruszalność granic Polski Ludowej.

W sesji uczestniczyli i zabierali głos przedstawiciele Rady Wojewódzkiej PRON, Stowarzyszenia PAX, Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego oraz Wydziału do spraw Wyznań Urzędu Wojewódzkiego. Zarówno biskup Wiesław Skołucki, jak i przedstawiciele wymienionych wyżej stowarzyszeń i Urzędu podzielili się z zebranymi osobistymi refleksjami na temat problemów, związanych z zachowaniem pokoju. Były to refleksje dramatyczne, ale zarazem napawające otuchą i nadzieją.

KRZYSZTOF KLON

Regionaliści znad Warty

Gorzowskie w ostatnich latach wy różnia się aktywnością kulturalną. Z ruder, jak mawia Edward Korban, dyrektor wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki, powstało wiele obiektów służących działalności artystycznej i kulturalnej, nie tylko zresztą w Gorzowie Wlkp., także w Dreźnie, Sulęcinie, Ośnie, Pszczewie. Wkrótce po wielu latach starań i prac konserwatorskich udostępni się okazały spichlerz w lewobrzeżnej części Gorzowa Wlkp. Znajdą się tam i muzeum, i pracownia konserwacji zabytków, i galeria prac Jana Korczy. dziś już nie żyjącego, znakomitego malarza, pasjo natora, miłośnika regionu. Na wielu płótnach utrwalił on fragmenty miasta, podgorzowskie pejzaże. Myślę, że ga leria jego prac, jeśli zostanie umiejsc owiona, nie spularyzowana, wpisze mocniej Gorzów na plastyczną mapę Polski.

Wiosną tego roku gorzowski Teatr „Tamerlanem” zwrócił na siebie uwagę ogólnopolskiej prasy. W tym sezonie także zanosił się w Gorzowie na tea tralne wydarzenie, ale nie uprzedzaj my faktów, żeby nie zapeszyć. Także ostatnie „Konfrontacje Teatralne” ścia gnęły do miasta kilka znaczących ze społów i wielu dobrych aktorów, a na widowinę sporo publiczności. Ciągle aktywne jest Biuro Wystaw Arty stycznych. Niejednemu miastu, znacz

nie większemu od Gorzowa, należałoby życzyć takich wystaw.

Redagowana tutaj „Ziemia Gorzowska” od pierwszej po ostatnią kolum nę mocno trzyma się regionu: to dziś z pewnością jeden z lepszych wojewódzkich tygodników. Nie ustaje w swojej aktywności Drezdenko, kiedyś ogólnopolski „Mistrz Gospodarności”, które ma ambicję stworzyć u siebie ponadlokalne Muzeum Puszczy Nadnoteckiej i Puszczy Drawskiej. Zalażek takiej placówki już istnieje w odremontowanym spichlerzu, w które — jak się okazuje — Gorzowskie jest dość bogate. Drezdenko wydaje lokalny miesięcznik, niezły, jak na możli wości niewielkiego środowiska, cho ciaż mógłby być jeszcze ambitniejszy i ciekawszy. W moim przekonaniu po winien się specjalizować w problematyce ochrony naturalnego środowiska człowieka, mając za patrona wybitne go znawcę przyrody, pisarza, plasty ka, długoletniego mieszkańca Gorzo wa, nie żyjącego już Włodzimierza Korsaka, którego wielkie idee, myślę, nie są dostatecznie spularyzowane, nie tylko zresztą w Gorzowie.

W mieście od wielu lat tworzą Irena Dowgiewic, Zdzisław Morawski, Bronisław Siomka i Witold Niedźwiecki, w Choszczynie Władysław Łazuka.

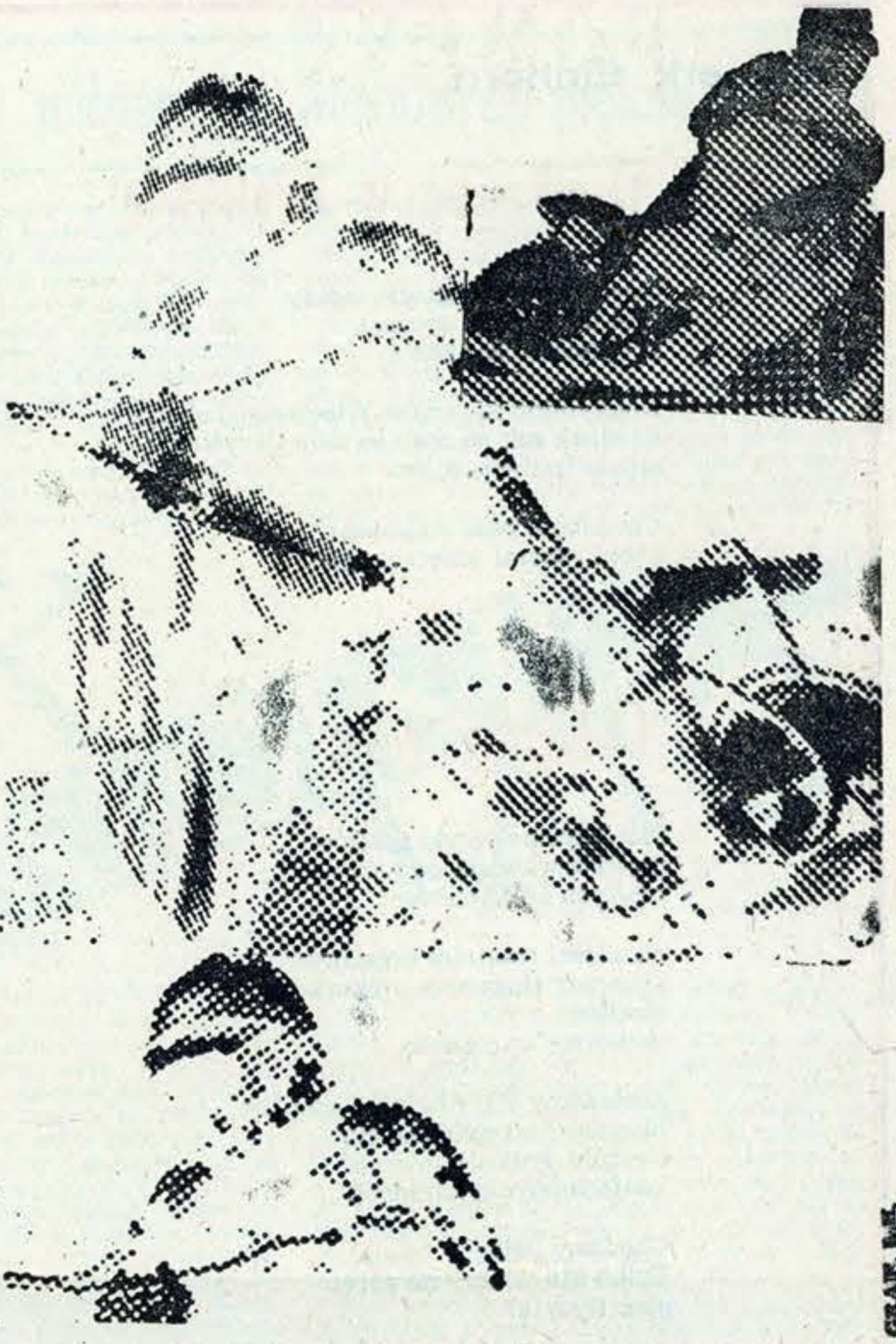
I cała plejada młodych z Furmanem i Muszerem, którzy wkrótce powinni powiększyć szeregi ZLP. „Strofami o mieście”, wydanymi przez Gorzowskie Towarzystwo Kultury, Morawski udowodnił, że także o Gorzowie można napisać parę pięknych i mądrych wierszy. I że być „regionalny” to nie znaczy wcale być gorszy, cikiwy i sentymentalny. Także w dorobku poetyckim i prozatorskim Ireny Dowgiewic, tegorocznej laureatki naszego pisma, można się bez trudu doszukać regionalnych inspiracji.

I jeszcze jedno. W ostatnim konkur sie o tytuł „Mistrza Gospodarności” niemal w każdej kategorii jakaś nagroda powędrowała w Gorzowskie, a to najlepszy dowód, że lokalne społe czeństwo nie są obojętne na sprawy swych miast, miasteczek, gmin.

Na tę dzisiejszą aktywność kultura lną Gorzowa i regionu! bezsporny wpływ mają towarzystwa regionalne, dziesiątki działaczy społecznych. Od dawna już wiadomo, że bez społecz nego poparcia i wsparcia, bez zaangażowania i obywatelskiej aktywności części mieszkańców sama władza, nawet najsprawniejsza, niewiele zdzi ła. I to się również dzisiaj sprawdza w Gorzowskim.

Myślałem, że te wszystkie proble my zostaną, jak to się zwykle mówi, wyartykułowane na ostatnim, czwar

Ciąg dalszy na str. 9



GRAF. B.M.

TAKI MŁODY A JUŻ JAWOREK

Ciąg dalszy ze str. 1

czaj lęk przed porażką. Nie są też prawdziwe opowieści o torach z pułapkami. Pewnie, że każdy tor sprzyja przede wszystkim gospodarzom, ale za den tor nie sprawia trudności dobremu zawodnikowi.

W dziesiątym wyścigu Jaworek ponownie spotyka się z Zabiłowiczem. Za pierwszym wirażem Zabiłowicz wysuwa się na prowadzenie. Jaworek nie rezygnuje, szarżuje i... jego maszyna niebezpiecznie „zatańczyła” na torze, mistrz spada na ostatnią pozycję i tak już pozostaje do końca wyścigu. Gwizdy. Pani kibic obok mnie śmieje się nerwowo: — Mistrz Polski, kurza twarz, a na końcu przyjechał!

— Czuję w tej chwili piękno tytułu Mistrza Polski. To jest trochę żenujące. W sporcie tak już jest, że każdy chce być mistrza. Jestem daleki od doskonałości w tym co robię. Popelniałem błąd i przyjechałem ostatni. Ciągle się uczę, tak już będzie do końca mojej sportowej kariery. Takie już są blaski i ciem nie sportu — na jeden świąteczny dzień pracuję się latami, a to wyczerkiwane święto trwa bardzo krótko. Mimo wszystko dzięki sportowi czuję się wyróżniony. Moje życie jest ciekawsze, niż życie wielu ludzi i — co może nie nale ży do plusów — biegnie ono znacznie szybciej. Już w kwietniu wiem dokład nie, co będę robił i gdzie będę we wrześniu. Ten rok tak właśnie prze mija. Pozostały mi jeszcze trzy turnieje i wyjazd na Węgry. W listopadzie do stanę urlop. Pewnie pojadę samochodem w Polskę, odwiedzę dalszą rodzinę, bo najbliższa mieszka w Zielonej Górze — rodzice i brat Zbyszek. Rodzice chodzą na mecze, a brat ma raczej inne zainteresowania. W grudniu zacz nę przygotowania do nowego sezonu. Tak, żyje się bardzo szybko. Czas na rozmyślenia będzie w trakcie sportowej emerytury, wtedy każdy puchar, każde trofeum przypomni dawne wspaniałe czasy. U nas bardzo dużo zyskuje się na sporcie. Nie każdy potrafi to docenić — mieszkanie, talon na samochód, zagra niczne wyjazdy. Trudno to wszystko zdo być pracując w zawodzie mechanika sa mochodowego. Tak, otrzymuję różne kuszące propozycje, ale z chwilą, gdy zaczyna się myśleć o zmianie barw klu bowych, o większych pieniądzach, przy chodzą przeważnie kryzysy w karierze, przychodzą gorsze wyniki. Dlatego mo że nie chodzi tu o wierność klubowi, któremu wiele zawdzięczam, ale o wierność samemu sobie. Oczywiście, że poza sportem mam jeszcze coś, co daje mi możliwość ucieczki i odprężenia, ale to osobny rozdział w moim życiu i pra gnę go zachować w tajemnicy przed szerszą publicznością.

W trzynastym wyścigu zawodnik z numerem trzynastym melduje się na me

cie jako drugi. Pani kibic znów sarka, znów mistrz ją zawiódł przegrywając z siedemnastoletnim torunianinem. Zano si na przegrana Falubazu. Jeszcze dwa biegi i raczej kiepskie prognozy. Przedostatni wyścig wypada nadspo dziewanie dobrze, jest remis. W biegu ostatnim idol zielonogórskiej publicz ności, Andrzej Huszcza, nie daje żad nych szans zawodnikom Apatora. Falu baz wygrywa czterema punktami. Husz cza wykonuje swój pokazowy numer — jazda na jednym kole. Publiczność jest w siódmym niebie.

— Kompleks Huszczy? Nie, chyba nie mam. Jesteśmy po prostu bardzo różni. Ja o wiele wolniej dochodziłem do suk cesów, choć systematycznie. Potwierdza ją to klubowe statystyki. — Każdego roku podwyższałem poprzeczkę. Do wy ników dochodzę dużym nakładem pra cy. Wiele godzin poświęcam swojemu motocyklowi. Między mną a Andrzejem jest różnica wieku, temperamentu i wie le innych, ale pracujemy dla jednego klubu i chyba dość dobrze to robimy, to nas łączy.

Rozmowę w klubowym warsztacie przerywa nam zniecierpliwiony kolega Maciej Jaworka: — Maciek pospiesz się, dziewczyny z kwiatami czekają. Trzeba zamykać interes.

Kolo bramy stoją dwie nastolatki z kwiatami i aparatem fotograficznym. Maciej Jaworek wyjeżdża swoim bia łym fiacikiem i zatrzymuje się koło bra my. Jedną z dziewcząt wręcza mistrzowi kwiaty dziękując mu za występ i punkty zdobyte dla klubu, a druga w trakcie zwyczajowych całusów robi zdję cie. Po chwili dziewczęta odchodzą.

— Jestem dziś trochę zmęczony, ale bardziej o zmęczeniu odczuwam pe wien psychiczny niedosyt. Rzeczywiście, nie wyszło to dobrze.

— Mówił pan o swoim tytule mistrza kraju, jak o najwyższym szczyśle w karierze. Czy rzeczywiście już na nie więcej pan nie liczy?

— Trzeba patrzeć realnie. W kraju zdobyłem już wszystko, a ze światem nie powalczę. Dystans między światem a Polską powiększa się, czy raczej my nie potrafiąmy go zmniejszyć. Do Duńczyków, którzy są najlepsi, brakuje nam pięciu klas, a inni też jeżdżą na lep szym sprzęcie. Mój klub nie jest w sta nie kupić nawet jednej maszyny, na któ rej byłoby szanse nawiązania kontaktu z czołową. Może kiedyś, już beze mnie...?

Dwaj kibice zatrzymali się pod zie lonogórskim ratuszem. Rozmawiają o różnych sprawach. W pewnym momen cie jeden z nich mówi:

— Ty, popatrz, ten co idzie, to jest brat Jaworka.

— Coś ty — dziwi się drugi — taki młody, a już brat Jaworka...?

PIOTR PIOTROWSKI

PS. W następnym numerze wypo wiedź byłego zawodnika Falubazu, Hen ryka Olszaka — Dlaczego musiałem odejść?



Aleksandra Domańska Bortowska

I skądże we mnie to pragnienie / wiecznego trwania mimo śmierci — pyta Bronisław Suzanowicz, autor to miku poetyckiego „Lot kamienia”, wydanego staraniem Muzeum Ziemi Lubuskiej. Pyta, będąc pod wrażeniem dzieł rzeźbiarki krakowskiej — Aleksandry Domańskiej -Bortowskiej. Przed gmachem Muzeum Ziemi Lubuskiej znajdują się dwie rzeźby artystki. Przed „Kurha nem ptaka” zatrzymują się ludzie wpatrując się w dzieło, dostrzegają pesymizm, daremność trwania. Cała twórczość rzeźbiarki, która myśli tylko o człowieku, związana jest z aktem niesprawiedliwości — śmierci nie potrzebnej, bezsensownej. Człowiek zazdrości ptakowi umiejętności latania, wolności, naturalnego kontaktu z przyrodą. W pracy „Kołyska” artystka przedstawia piskie skazane na śmierć, jakby chciała powiedzieć, że tylko ziarno wrzucone w żyzną ziemię wyda owoc. Właśnie „Owoc”, to tytuł drugiej rzeźby przed gmachem zie lonogórskiego Muzeum. Owoc — symbol życia, nadziei, że z jego głębi wyłoni się nowe życie. Ale, pyta artystka, jakie ono będzie?

Sztuka Aleksandry Domańskiej-Bortowskiej oswaja nas i przygotowuje do łagodnej śmierci. (...) Życie jest jeszcze w skamieniałych owocach, tli się we wnętrzu, pragnie nasieniem starym obdarzyć ziemię, lecz ukamienowane z zewnątrz, nie ma dość siły, aby zniszczyć pokrywą otulającą świat — pisze Jan Muszyński. Ogła dając prace artystki uznajemy śmierć i akceptujemy ją, pozbywamy się strachu. Rzeźbiarka wyznaczyła swoim głazem uformowanym w owoce, ptaki, gry, kurhany,



A. Domańska - Bortowska podczas rzeźbienia „Owocu” Fot. Archiwum

Hinnerk Einhorn

Wielkanoc w Krakowie

Siaraczany wiatr gładzi fasady
pilastry i lizeny spadają
w surowość kamienia

Nieczytelne są twarze Wiecznego Tułacza
a jednak rok po roku światło Chrystusa
zapala tradycje ojców

Chciałbym paść na kolana
przed ranami umęczonego

Chodźmy więc

Postrzępione języki aniołów
pięści krwawiące od głów
zabitych kołkami

strudzeni ostatnim orgazmem
świecący tłuszczem prekursorzy
chodźmy więc
w stronę wieczności

Zostawimy wam błogość urzędów
blaszane szczęście zakonu
i ciepłe gniazda
konformistycznych myśli

Chodźmy więc
Tylko kto wtoczy na górę
głaz Syzyfa?



Z wystawy plastyków okręgu Cottbus w salonie BWA w Zielonej Górze
Reprod. KRZYSZTOF MEZYŃSKI

Bernd-Dieter Hüge

Portret jesienny

Stefanowi

Wszystko już było pustynią —
wszystkie kolory tęczy
zasypał piasek
Tylko jeden odcień: szary
pozostał żywy

Czasem wiatr czynił harce
z wyszumiałymi wysłużonymi
liśćmi — płaszczami
które gromadził daleko
u podnóża gór kolorowych
Tylko ostatnie arbuzy
straszyły dawną żółcią
na płocie sąsiada
kąsane nocą przez mróz

I nagle skoczył chłopak
i wetknął w piasek
złamana burza gałąz
Z lawiny listowia
liście wybrał zielone
i na gałęziach nagich
tak je pozawieszał
jakby nędzę drzewa
chciał ozdobić życiem
a skąpy krajobraz —
jednym tchem ożywić

Przekład z niemieckiego: Romuald Szura

Wici żałobne wędruje przez
wieś. Wyglądem przypomina
pięknie rzeźbioną nogę sto-
lową. Do tego drewnianego
przedmiotu, ciężkiego ni-
czym maczuga, ktoś przy-
piął pineskami kartkę, na której wi-
nieje data zgonu, nazwisko zmarłego
i dzień pogrzebu. Wolne miejsce na
kartce przeznaczone jest dla jego przy-
jaciół, którzy zgłoszą swą pomoc przy
kopaniu grobu.

Zmarł Heiner Mitzig. Przeszło dwa-
dzieścia lat był przewodniczącym rol-
niczej spółdzielni produkcyjnej w Wutt-
kow. I żaden z jego przyjaciół nie za-
pisał się jeszcze. Żałobne wici zmierz-
ają określoną drogą przez wieś — nie kie-
ruje się numeracją domów.

Frieda Lärke musi nieść tę dziwną
drewnianą klepsydre od początku wsi
aż do rodziny Blaschke na drugim jej
krańcu wydeptaną ścieżką między sta-
rym murem zagrody, a skarpią. W cza-
sie deszczu ścieżka ta staje się wart-
kim strumieniem, który gromadzi ka-
mienię — nie dla Friedy drobnego kroku.
Jej płuca ledwo dają sobie radę na tak
długiej drodze z ogromnym ciężarem
ciała. Kobieta ta jest kucharką w
spółdzielni i wkrótce zostanie emeryt-

Autobus dawno już odjechał. Mglisty
wieczór czaił się w powietrzu. Życie
płynię, jeżeli nawet przy oknie stoi
ktoś tak nieporuszenie jak przewodni-
czący spóldzielnę, Mitzig myślał o tym
jednym kamyku w mozaice wielkich
problemów świata, o konsumie we wsi.

Blisko trzysta lat temu mieszkańcy
Wuttkow wynieśli smukłą wieżę ko-
ścioła ponad krajobraz. Gdy Mitzig wra-
cał ze swoją żoną Marleną do wioski,
zgadywali, kto z nich pierwszy zobaczy
wieżę. Ale co tam wieża! Najlep-
szą lokalizacją dla spółdzielni handlowej
z pawilonami, byłby plac między do-
mem proboszcza, a kościołem, jakkol-
wiek obydwa budynki, choć oddalone
od siebie, znajdowały się na gruncie
kościelnym. Mieszkańcy Wuttkow nie
byli wystarczająco bogobojni i hojni
w danych, a proboszcz Vogeler zbyt za-
sobny, by utrzymać ten ogromny teren.
Tak więc płatały się trochę jego dro-
gi boże, szczególnie wtedy, gdy w nie-
dzielę zaspal i musiał do kościoła iść
na skróty, przedzierając się przez krze-
wy jeżyn i złoćcia — prawdziwe pal-
my na ugorach. O tych sprawach rozma-
wiał często z proboszczem burmistrz
Wuschko.

— Na próżno się pan trudzi. Dam znać,
jeżeli zdecyduje się poprzeć budowę
spółdzielni handlowej. Do widzenia,
panie Mitzig!

— Ja w sprawie zegara kościelnego,
panie proboszczu.

— Zegara kościelnego? — resztki snu
spadły z powiek sługi bożego.

— Naprawdę go, przecież od lat ze-
sputy — powiedział Mitzig.

— Pan? — Vogeler wietrzył handel
zamienny. — Z jakiego powodu?

— Z namiętności majsterkowania,
panie proboszczu.

Czyby Mitzig potrafił naprawić zegar?
Od dawna dwóch mechaników zbierało
w kościele składkę dla dobrego majs-
tra.

W niedzielę, po nakarmieniu bydła,
Mitzig przeznaczył czas na naprawę
zegara kościelnego. Właśnie rozpoczęło
się nabożeństwo. Ażby nie przeszkad-
zać wiernym, proboszcz dał mu klucz
od tylnego wejścia na wieżę. Teraz Mi-



lą. W pracy nosi zawsze białe fartuch
z przedłużonymi wstążeczkami, ażeby
mogła opasać nimi swój brzuch. W jej
nalanej twarzy najbardziej widoczne
są szpiczaste usta, które podczas biegu
przypominają literę O.

Przed gospodarstwem Blaschke'go
Friedę opuszcza napięcie i zdenerwo-
wanie. Z ust wydobywa się okragłe zda-
nie: Idzie śmierć! Kucharka nie może
wejść do domu, śmierci nie wprowadza
się pod obcy dach. Ktożby pozwolił
jej zapukać do okna lub drzwi? Można
ją tylko słowami głosić, bo wiatr por-
wie wiadomość i na strzępy roznieśli.
Frieda opiera „maczugę żałobną” o
bramę wjazdową i odchodzi. Schodząc
w dół myśli: Nie miał żadnych przy-
jaciół. Nikt nawet nie wykopie mu gro-
bu. Jakże jest życie człowieka, który
nie ma przyjaciół?

Mitzig potarł nos i podszedł w swym
pokoju biurowym do okna. Był piątek
i radość sobotnio — niedzielna mości-
ła sobie gniazdo w Wuttkow. Mitzig
gwizdał ulubioną melodię, którą gra-
ją orkiestry dęte. Jeżeli się zapomniał,
usta jego naśladowały trąbkę.

Knapciarz Leibisch wyturłał nową
beczkę piwa. Najbardziej udany inte-
res miał zawsze pod koniec tygodnia.
Prawie wszyscy mężczyźni spotykali
się w knajpie. A kobiety? Stały przed
oknem Mitziga, pod żółtym dachem
przystanku autobusowego i czekały na
autobus o 16.30. Piątek był dla nich
dnem zakupów. We wsi nie było kon-
sumu. Mimo to, zaopatrzenie nie nale-
żało tu do najgorszych. Obok stawa
przeciwpożarowego, Jahn Rohschott
prowadził sklep mięsny. Od poniedział-
ku do czwartku sprzedawał przez dwie
godziny dziennie, a w następnych dwóch
dniach — od rana do wieczora.

W sklepie znajdowało się akurat
czterech klientów, kilka much i żona
rzeźnika. Za ladą zajmowała tyle miej-
sca, ile czterech kupujących przed la-
dą. Nazywała się Józefina, a mąż wo-
łał ją: Fina. Dzwiecznym ping - pong
drzwi sygnalizowały wejście każdego
klienta. Tym razem weszła żona Lit-
tiga, by kupić chude i soczyste mię-
so na sznycel dla swego męża. Co jak
co, ale jedzenia nie powinno mu bra-
kować. Podniosła rękę nad kawałkiem
wieprzowiny. To zaniepokoiło muchy,
które z brzęczeniem przeniosły się na
mięso wołowe. Wreszcie położyła Jó-
zefina kawał wybranej wieprzowiny na
deskę i wbiła swoje ciemne paznokcie
głęboko w mięso. Błysnął nóż. — Dobra
stał Sollingen — powiedziała. Ostre no-
że uzupełniały obraz jej uporządkowa-
nego świata. Ostrzenie noży i sprzeda-
wanie w sklepie, to jedyne sprawy, z
jakimi miała do czynienia.

Pani Littig otrzymała wieprzowinę
i porcję gotowanej szynki jako doda-
tek dla swego męża. Postanowiła, że
następnym razem przekaże Józefinie
więcej miejscowych plotek, ażeby za-
służyć sobie na dodatkową porcję wa-
tróbki.

Poza sklepem mięsnym była we wsi
jeszcze jedna instytucja handlowa —
sprzedawca musztardy. Handlował nią
korzystając z niebieskiego, trójkątowe-
go wozu dostawczego. W kabinie kie-
rowcy znajdowała się ręczna trąbka,
którą handlarz zwoływał ludzi. Gdy się
zjawiali, drewnianą, ozdobną łyżką
nabierał musztardę i napelniał ich gli-
niane garnki.

Mitzig wciąż jeszcze stał przy oknie.

— Ten pustynny teren, to plama na
honorze — mówił burmistrz. Vogeler
wzruszał ramionami i kierował spojrze-
nie ku niebu.

— To przyroda Boga, dobry człowie-
ku. Nie mogę na to pozwolić, by boże
działło nazywać plamą na honorze.

I jego miękkie, delikatne ręce stały
się murem przeciwko burmistrzowi.

Parafianie widzieli, że ich duszpasterz
codziennie rano w pośpiechu zdążył do
kościół, ponieważ sutanna proboszcza
pełna była kołców jeżyn i kwiatowe-
go pyłu złoćcia. Kiedyś przyczepili
mu się do pleców kulki rzepienia, że
aż Frieda Lärke tamtego niedzielnego
ranka powiedziała z nabożeństwem:
Nasz pan proboszcz ma żołnierskie gu-
ziki!

I w tym ogniu niezgody chciał Mit-
zig zbudować sklepy spółdzielni han-
dlowej.

Wszystko poszło tak, jak tego można
się było spodziewać. Burmistrz zwró-
cił się do Mitziga: Mamy sprzątnąć ten
jego bajzel? Beze mnie!

A proboszcz Vogeler powiedział póź-
niej: Widzi pan, panie Mitzig, to jest
posiadłość i ziemia kościoła. A jaki in-
teres może mieć kościół w budowie
konsumu na wsi? Pan burmistrz skłon-
ny jest mieszać się do moich spraw.

Tydzień później na marmurowej
płycie Marlena kroila zielone ogórki.
Marmurowa płyta i szafa kuchenna sta-
nowiły jej spadek. Nelli, matka Mar-
leny, siedziała w izbie, przy okragłym
stole, kroila kromki chleba na małe
kawałeczki i czekała na ogórek. Wys-
łała Mitziga do kuchni, by poszukał
Marleny. Ten zbliżył się do stojącej
tyłem żony. Marlena odwróciła głowę
i powiedziała.

— I cóż, mój zbawco świata!?

Na czole Mitziga pojawiła się zmarsz-
czka gniewu. Gdy był wewnętrznie
zdecydowany podjąć się jakiegoś za-
dania, które przerastało jego możliwości,
zawsze mówiła mu: ty zbawco... Pos-
tepowala tak, ponieważ powiedział jej
kiedyś w gorliwości: Przeobrażamy
świat, dlatego nie możemy pozwolić,
ażeby przytłaczały nas drobniaki. Mar-
lena śmiała się, układając usta w za-
łotnym uśmiechu, wiedziała, że w ten
sposób zdoła rozbroić jego powagę.

Był pogodny wieczór. Długi zamek
w jej zapinanym fartuchu puścił. Ręce
Mitziga torowały sobie tam drogę. Za-
nurzyl swoją twarz w jej bujnych wło-
sach. I nagle ktoś skubnął go w rękaw
koszuli: Teściowa!

— Gdzie przepadliście z tym ogór-
kiem? A może porzeczaliście się?

Mitzig zapukał delikatnie do szkla-
nych drzwi parafii. Przed chwilą skoń-
czył udół. Oplacała się dodatkowa ho-
dowla. Zapukał jeszcze raz mocniej, aż
zadzwieczyły szyby. Wreszcie w środku
zaskrzypiały drzwi i usłyszał głośnie
ziewanie. Zjawił się proboszcz Voge-
ler. Jego siwe włosy były rozczochra-
ne. Południe. Niechęć.

— Nabożeństwa są oficjalne, panie
Mitzig — powiedział Vogeler i pomyś-
lał: ten człowiek staje się dokuczliwy
z tym swoim konsumem. Nie słuchaj
na zwykły uśmiech, dodaj

tzig przypatrywał się z góry siłom
bożym. Był zdumiony, że tylu ludzi
zobaczył przycupniętych między ławkami,
bez zapłaty i dopłaty, jak gdziein-
dzie. I gdyby nie chodziło o probosz-
cza i nabożeństwo, byłby to wspaniały
przykład do gazety. A jak wszyscy
śpiewali! Przypomnił sobie zebranie w
spółdzielni produkcyjnej z udziałem
ważnego gościa z okręgu. Hasenhuber,
który przygotował to zgromadzenie,
zarządził odpiewanie jakiejś masowej
pieśni. Mitzig domyślał się, że ważny
gość musiał być przedtem wiernym
parafianinem, ponieważ do końca wy-
trzymał wszystkie zwrotki pieśni. A w
ogóle to śmieszne. Towarzysz na mszy
świętej! Mitzig poczuł się uprzywile-
jowany, ale tylko do chwili, kiedy od-
krył towarzysza Stachesa w kościelnej
ławce. Zaraz po wstąpieniu do partii,
został on kierownikiem działu w fa-
bryce maszyn.

„Odpuszczamy wszystkie grzechy”
mawiał proboszcz Vogeler. Punkt sty-
czności, jakim stał się teraz zegar, po-
zwolił Mitzigowi i Vogelerowi poznać
wzajemne ludzkie strony postępowania.
Więcej było powodów, żeby rozmawiać.
— Kiedyś — powiedział przewodni-
czący spółdzielni — ławkę w kościele
nie mieściły wszystkich wiernych.
Dziewki służebne stały. Przynajmniej
tak opowiadała mi matka. Komu po-
woliłby pan na to dzisiaj? Te kłopoty
odpadły, panie proboszczu.

— Jest tak, jak na pana zebraniach
partyjnych — powiedział Vogeler —
Kłopotów nigdy nie brakuje. Różnica
panie Mitzig, polega jednak na tym,
że jeżeli ja o tym opowiadam niebu,
mój Pan spogląda na mnie z góry.
Natomiast pan, może głosić, co się pa-
nu podoba.

A więc gdzie proboszcz może swoje
hasła wygłaszać? Najwyżej w domu
parafialnym, a tam chodzą tacy, co i
tak w każdą niedzielę przychodzą do
kościół.

— W naszej wiosce — stwierdził
Mitzig — parafia powinna mieć swoją
gablote z ogłoszeniami, obok której
każdy mieszkaniec Wuttkow spółdzielni
handlowej, nikt nie miałby nic przeciw-
ko temu, gdyby pan ewentualnie, po
prawej stronie, przed wejściem do skle-
pu, postawił swoją gablote. Wreszcie,
jest to teren kościelny.

Proboszcza zdumiało takie zrozumie-
nie sprawy i uniósł pytające brwi.
Mitzig postawił sprawę jasno: A więc,
sklep, panie proboszczu! Zakładając, że
pan przystanie na budowę spółdzielni
handlowej, nikt nie miałby nic przeciw-
ko temu, gdyby pan ewentualnie, po
prawej stronie, przed wejściem do skle-
pu, postawił swoją gablote. Wreszcie,
jest to teren kościelny.

To trafiło do przekonania Vogelera.
Formuła brzmiała: Zgoda na budowę
pawilonów handlowych, za możliwość
propagandy. Wyraził więc zgodę.

Przekład z niemieckiego:
ROMUALD SZURA



Za magicznym dotknięciem...

OD PÓŁTORA ROKU DR STANISŁAW RATUŚIŃSKI PRZYMIAJĄC W SPÓŁDZIELNI LEKARSKIEJ W ZIELONEJ GÓRZE, STOSUJE ORYGINALNĄ METODĘ ZWANĄ AKUPRESURĄ.

— Jest pan rehabilitantem z wykształcenia, skąd zatem akupresura? — Najpierw, pracując w zespole uzdrowiskowym w Dusznikach zajmowałem się rehabilitacją chorych po zawale mięśnia sercowego. Doktorzywałem się w dziedzinie rehabilitacji tego typu chorych metodą interwałową. Obserwując ich stwierdziłem, że pacjenci skarżą się często na bóle np. barku, głowy, pleców. I wtedy, aby im ulżyć, zacząłem doszukiwać się tradycyjnych metod rehabilitacji. Niestety, one niewiele uwagi poświęcają bólowi. Postanowiłem jednak pomóc chorym. Sięgnąłem po akupresurę. Coś nie coś wie działam na ten temat, bowiem w naukach medycznych istnieje dział refleksologii traktujący o tej dziedzinie. „Brałem akupresurę, ponieważ chciałem pomóc w walce z bólem ale metodą bez przenikania skóry człowieka, jak to się stosuje np. w akupunkturze przy nakłuwaniu igłami.

— Co to jest więc akupresura? — Na masowaniu, drażnieniu punktów refleksyjnych na stopie. Ta droga nerwowa dociera się do określonych miejsc bólowych. Organizm odpowiada reakcją: lepszym ukrwieniem, odprowadzeniem produktów przemiany materii (substancji toksycznych) wydzielaniem substancji wewnętrznych. To wszystko razem może dać w efekcie działanie przeciwbólowe. I w tym tkwi sedno sprawy.

— Czy to ma coś wspólnego z kręgosłupem? — Na masowaniu, drażnieniu punktów refleksyjnych na stopie. Ta droga nerwowa dociera się do określonych miejsc bólowych. Organizm odpowiada reakcją: lepszym ukrwieniem, odprowadzeniem produktów przemiany materii (substancji toksycznych) wydzielaniem substancji wewnętrznych. To wszystko razem może dać w efekcie działanie przeciwbólowe. I w tym tkwi sedno sprawy.

— Punkty refleksyjne stopy wywołują się z topografią Hameda. Ludzie kupują też fakirki, kłapki z plastikowymi kołkami drażniącymi stopy. Ale tylko wybiórcze działanie pod kontrolą lekarza może przynieść efekty. Te działania ogólne, traktowane jako panaceum na wszystko,

niewiele znaczą. To tak, jakby ktoś garściami tykał leki. Musi być działanie na to miejsce, które boli.

— Jak zatem wygląda Pana metoda rehabilitacji?

— Jest to rehabilitacja kompleksowa obejmująca akupresurę, ćwiczenia ruchowe, zlecane do domu oraz zalecenia dotyczące zachowań pacjentów — spanie na twardym, sposób siedzenia, unikanie pewnych pozycji np. skłonów w przód. Co do akupresury stosuję pobudzanie miejsc na stopie specjalnym aparatem własnej konstrukcji. Ponieważ punkty refleksyjne są bardzo małe, trudno trafić w nie kciukiem. Stąd ten aparat zaopatrzony w boloc o średnicy około 6 mm poruszający się po włączeniu do sieci elektrycznej i posuwisto-zwrotnie.

— Kto może się zgłosić do Pańskiego gabinetu?

— Osoby z przewlekłymi bólami typu migreny, bóle kręgosłupa, kolan, rąk, które drętwieją i tracą czucie. Ale im wcześniej pacjent się zgłosi, tym lepiej. Przypadków ostrych, zakwalifikowanych do operacji, nie podejmuję się rehabilitować.

Pacjenci powinni zgłaszać się do mnie ze skierowaniem od lekarza — neurologa, chirurga lub ogólnego. Współpracuję z lekarzem neurologiem Marianną Wojtowicz. Chodzi o to, aby najpierw przebadać pacjentów i uzyskać albo przeciwskazania lub skierowanie na leczenie. Konsultuję również merytoryczne problemy z lekarzem chirurgiem — ortopedą Piotrem Wójcikim. Przeciwnie chory poddawany jest dziesięciu zabiegom, codziennie po 15–20 minut masażu każdy. Jeśli zachodzi konieczność jest on wspomagany masażem segmentarycznym, czyli masowaniem określonych miejsc, mających połączenie nerwowe z odpowiednimi miejscami bólowymi na ciele.

— Jaka jest skuteczność leczenia?

— Obserwuję dużą niewiedzę pacjentów. Przychodzą tu i nie bardzo orientują się czego oczekiwali. Ale

opowiem o dwóch przypadkach. Pacjentka nie mogła chodzić, a leżąc odczuwała ciągle i silne bóle. Wyczerpała już wszystkie możliwości leczenia. Podjąłem się rehabilitacji. Po 10 zabiegach zaczęła chodzić i tak jest do dziś. Mało tego, rusza się jak baletnica. I drugi przykład: pacjentka nie dotrzymała warunków tj. spania na twardym, siedzenia z podpartym kręgosłupem, zakazu skłonów w przód. Liczyła tylko na same zabiegi, bez współpracy ze swoją stroną. W rezultacie efekt żaden. Tylko pretensje do mnie. Proszę więc wyraźnie zaznaczyć, że potrzebna jest współpraca pacjenta i ogromne zdyscyplinowanie co do zaleceń.

— Czy korzystał Pan z jakichś wzorców?

— Nie miałem wzorców osobowych, tylko lekturę medyczną i własne doświadczenia. Pięć lat trwały badania doktoranckie w Dusznikach i drugie tyle poszukiwanie metod przeciwbólowych. Finalizuję te poszukiwania od półtora roku w Zielonej Górze. Zabiegom poddawałem się dotychczas około 120 pacjentów. W ostatnim okresie nawiązałem bardzo interesujące kontakty z lekarzami. M.in. na spotkaniu w oddziale

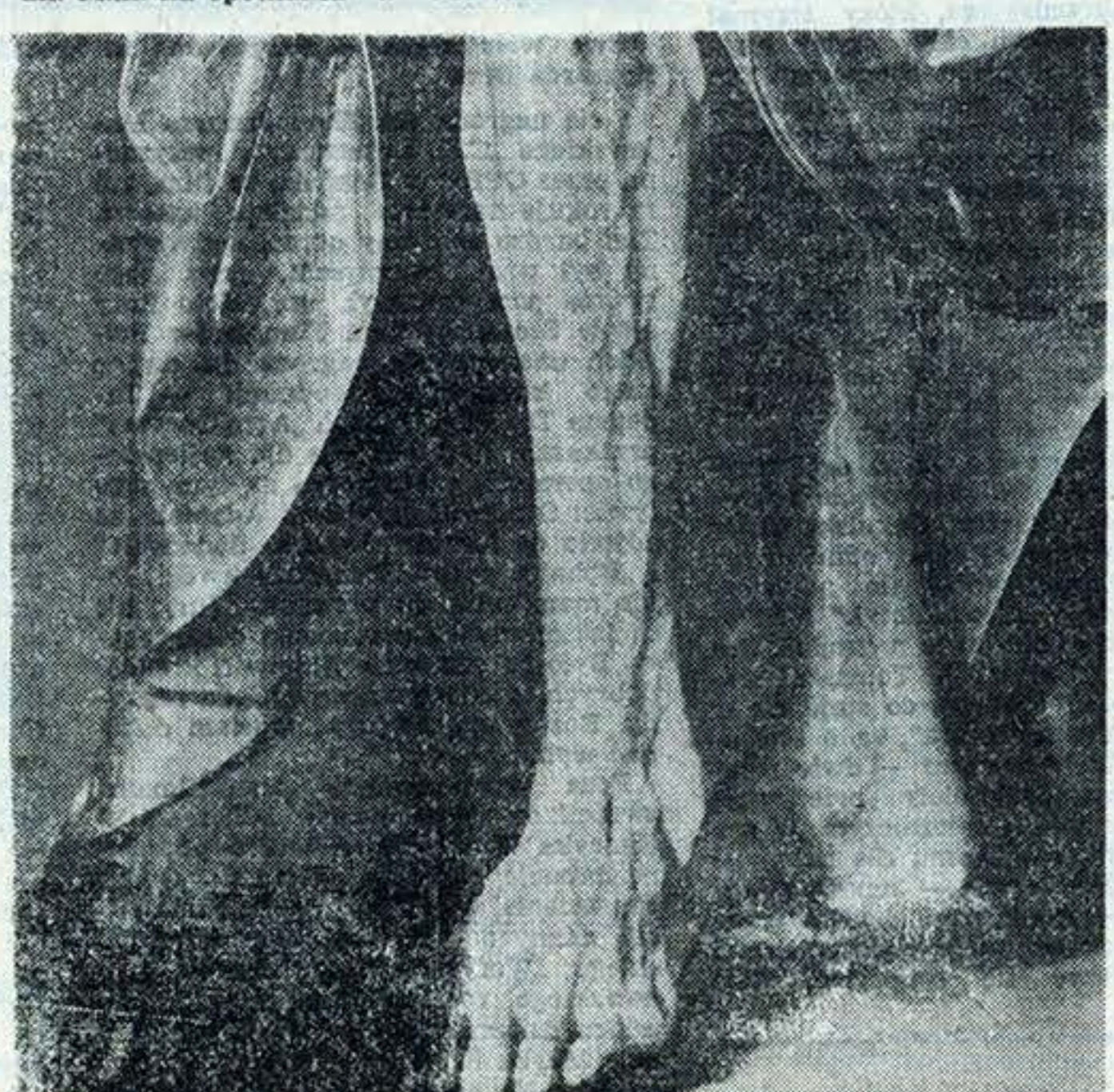
Polskiego Towarzystwa Naukowego w Świebodzinie zorganizowanym przez ordynatora tamtejszego szpitala doktora Mirosława Żurawskiego. A także z zielonogórskimi chirurgami za sprawą ordynatora Oddziału Ortopedycznego doktora Jana Doleckiego. Wyszyli nam bardzo ciekawe problemy, którymi się teraz zajmuję, wzbogacającą moją wiedzę i pozwalającą wspólnie skutecznie przeciwdziałać cierpieniu pacjentów.

— Ostatnio opublikował Pan kilka artykułów w „Balneologii Polskiej” i „Kulturze Fizycznej”. Czy spotkał się Pan z podobnymi praktykami?

— W piśmiennictwie naukowym nic takiego nie znalazłem. Czasem słyszę od pacjentów, że gdzieś ktoś coś robi, ale nie wiem, czy ma to coś wspólnego z medycyną. Natomiast ostatnio we współpracy z doktorem Wojtowicz przygotowałem materiał, który znajduje się teraz u wojewódzkiego konsultanta do spraw rehabilitacji. Jest to praca przeznaczona do publikacji podsumowująca okres moich badań w Zielonej Górze.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała: HANNA DONARSKA-GALEK



Ołtarz Mariacki — fragment postaci św. Jakuba

Sceny miłosne w literaturze pięknej

Prom znowu uderzył o pomost z trzaskiem i ze skrzypieniem drzewa, niczym budowla zderzona z budowlą. Poprosiła, żeby wsiadł. „Uważaj, bo ciemno. Abyś nie skoczył do wody. Jedziemy pomału” Odezwała się o wiele ciszej, niżeli przedtem pracując gorliwie, jak gdyby nagle sprawą niebываłego znaczenia stało się szybkie, w miarę niezauważalne, przewiezienie Jasienia Korynta na drugi brzeg Wisły.

Prom ruszył, odepchnięty sprawnie drągiem od pomostu. Silne ręce rzuciły go potem na dno płaskiej, szerokiej łodzi. W tę stronę niósł dobrze

jej dął spokój wszelkim obracaniem do przodu. Niech będzie zadowolony z tego, co ma, i niech się pospieszy. „Za niedługo koniec jazdy”. „Ty diablico — powiedział. — Jak ci na imię? Wolałbym od przodku”.

Zaczęła się śmiać głośno, z beztroskim, sztywnym uporem i jego zdjął strach. Śmiech mo że sprowadzić tatusia dziewczyny, jej męża lub braci. Rzucił: „Niech będzie, jak chcesz, tylko się nie chichraj tak głośno”. Objął ją, przytulił. Dio nie przyłożył do matek sterczących piersi, zaś łokieć wbił w brzuch, żeby mu lepiej przylegała plecami. Ale go oblał chłód i wtedy pomyślał, że takie samo zimno płynące pewnie od rze

JAK KRÓTKIE LATO

Jan Pierzchała

sam prąd wody. Jasień Korynt powiedział, że jej nie widzi, i ona rzekła pogodnie, iż lepiej, że się nie widzą nawzajem. „Dlaczego tak lepiej?” Lecz nagle posłyszał bardzo ciche odgłosy jej kroków. W ciemności wyciągnął ramiona przed siebie, czując mrowie na plecach, na policzkach. Postąpił do przodu. Siedział wolno tam, skąd przy pływał ku niemu jej cichy, przyzywający go śmiech. Wpierw dotknął jej pleców, opuścił palce niżej, poznał, że to są plecy kobiety, stojącej do niego tyłem. Uczuł niezwykle kształtne, drobne, delikatnie zbudowane ciało odziane czymś szorstkim, cienkim, przylegającym. Kiedy oboma dłońmi dotknął jej mocnych, wyniosłych bioder, wtedy ona miętko złożyła palce na jego rękach, spytała, jak mu na imię. „Jan” — powiedział, tylko że od dziecka wołają na niego jak na drzewo. „Jasień mówią”. I ona cichutko wymówiła to imię. „Jasieniu — rzekła — okryj mnie twoim żołnierskim płaszczem”.

Plecami zwrócona do jego piersi ciągle wiewiała mu ręce na swoich biodrach. Powiedział, żeby raczej wtuliła się w niego, będzie dużo cieplej. „Dlaczego miałbym zdejmować płaszcz?” Pozbył się mocnego uścisku jej dłoni, chwile dotykał sterczących piersi dziewczyny, płaskiego, ledwie zaokrąglonego brzucha, obejmował czule biodra, dotykał twardych, okrągłych pośladków. Pytał szepem wniebowzięty: „Z czego ty jesteś stworzona, że masz takie twarde ciało?” Wszystko nie samowolnie w niej tym większe budziło pożądanie. „Obróć się — poprosił drżącym głosem. — Obróć się przodem do mnie”. Zaś ona odparła, aby

ki odczuwać musi i ona. Więc technął z otwartych ust ciepłym oddechem na jej kark, rozdzieliwszy wpiętych wargami długie sztywne włosy, które się przed nim klębiły. Bez przerwy jednak czuł w sobie odpychający chłód, zdolny zagasić wszelki miłosny zapal i ochotę. Trzymając ją ciągle przy sobie blisko długo przewalczyć nie mógł spódnicy, która się zmieniała podobnie jak i włosy w kłęb przybierający jakby na objętość ci, przez który w żaden sposób nie mógł się do niej przebić. Odezwał się cicho: „Od tej wody przeziębłaś widać doszczętnie”. A potem szarpnął kiecki i przyparł ją mocno.

Miał wreszcie to, czego chciał, ale i to okazało się ścisłe i zimne, nieprzystępne. Lecz o tym nie dała mu myśleć przenikająca go naraz fala błogiego ciepła, wezbranej słodyczy, rozkoszy, jaka zawiadnęła nim potężnie uszytniając jego ciało i mocno targając nerwami. Potem ona za czła drżeć wtulona w niego głęboko. Naraz objęła go w pół zwrócona do niego przodem. Zażądała: „Zdejm płaszcz, okryj mnie”. Ciepła jej dać nie może taki wojskowy płaszcz, wiadomo z czego zrobiony, że nie z wełny tylko z pokrzywy. Jasień Korynt stanowczo odwołał ją od czegoś takiego. „Chcesz duszę, to bierz, a płaszcz nie ruszaj!” „To daj!” — zaczęła się śmiać i później z czułością przywarła wargami do jego ust, biorąc jak gdyby to, co jej oddawał bez chwili namysłu.

Prom płynął nadzwyczaj wolno niesiony samym tylko prądem wody. Nad rzeką trwał mglisty, nieprzenikniony mrok, było coraz zimniej. Jasień Korynt drżał na całym ciecie i szczykał zębami. Ona przylgnęła do niego, opasała go ramionami z całej siły, a jemu już było dość uścisków i zdjęty ni pokojem próbował uwolnić się od jej mocnych rąk. Powiedział, by go puściła, szarpał się kilka razy, może jej nawet zadał ból, gdyż z warg jej wypłynął proszący ton poddania, którym mówiła, ażeby — jeśli może — starał się być de likatny, taki, jakim powinien być w podobnej chwili mężczyzna.

Stanieła znowu przed nim cała otwarta, wyzywająca, lubieżnie zapraszająca go na siebie: „A chodźże, ty głupi”. Znalazła za paskiem jego spodni długi bagnet austriacki, chciała mu go stamtąd wyjąć, lecz na to nie chciał zezwolić. „Będzie ci przeszkadzał”. „Co mi będzie?” Nie przeszkodził mu przedtem, nie przeszkodził mu i teraz. „Jak bagnet może przeszkadzać żołnierzowi? Zostaw bagnet na swoim miejscu”. Nalegał na nią, żeby go więcej nie dotykała, otrząsnął się przejęty do żywego wcale jakby nie urojonymi obawami, iż nie dość, że może zostać okradziony, jeszcze go na domiar zabiją jego własnym bagnetem albo go pozbawiają męskości.

Ona wsunęła ostrze do pochwy z powrotem. Bagnet tkwiący za paskiem przy samym cieple obrocila nieco w bok, gdyż jeśli on już do tego przyzwyczajony i mu to nigdy nie przeszkadza, niech chociaż pomyśli, że to ją może uwierać, a nawet poranić, albowiem w kochaniu czym innym jest tył, a znowu czym innym przód, o który tak się dopraszał jeszcze przed chwilą. Zachciało mu się naraz czegoś innego. Nalegał, by się położyli.

„Jeszcze czego?” Świat nie słyszał, ażeby nie dość że broń na łodzi, to jeszcze się kłóści. A dno promu całe w wodzie. Opetala go potem myśl, ile ona zarząda za to wszystko. „Ile ty będziesz za to chciał?” „Już za płac!” — powiedział i on odezwał się spokojny do swoich podejrzliwych myśli: „Jak zapłaci? znaczy, że co? Ze jej dość, iż ma mnie? To wszystko w porządku, jeżeli sprawa z zapłatą wygląda w ten sposób”. Całe swe uczucie, na jakie mógł się tylko zdobyć nowy przypływ pożądania z wzajemnością obrócił na nią, lubieżnie zalotna i z nią spółkował na stojąco, pracując sobą zażarcie, kłując i dobijając, doznając przy tym nie znanych mu jeszcze dotąd rozkoszy miłosnych, rozświetlając cych jakby ciele ciało, olśniewających wszystkie siły duchowe, nakierowane na to jedno potężne doznanie, obrócone wyłącznie ku jej zagadkowemu, marmurowemu ciału, które wciąż technęło za dzwiniącym chłodem, a choć go przyjmowało zlaknione i pieszczot chciwe, obiecywało jeszcze więcej, niżeli spełniało. Dlatego Jasień Korynt obrócił ją znowu tyłem do siebie, tą stroną więcej przystępną i jakby pełniej otwartą.

Przygięty w kolanach, z palcami wbitymi w jej biodra, cały się zdawał wchodzić pod nią, bódł ją straszliwie, zaciekłe, parł na nią od dołu, wbił w przecięcie pomiędzy twardymi kula mi całą swą równie jak kamień stężała moc, czuł ją, rany boskie, czując, że go oblewa nie jej, lecz jego ciepła, kleista lekko krew. Naraz uczuł trzęszący ból w karku, no którym waleło mu oczy zrazu amarantowym, zaś później blednącym, żółtym, woskowym światłem.

(Opublikowany powyżej fragment pochodzi z wydanej w 1953 r. przez SW „Czytelnik” powieści pt. „Jak krótkie lato”)



Fot. TADEUSZ AMBROŹ



POWRÓT „WODEWILU...”

Dawno nie było tak wesoło w Teatrze Lubuskim jak na premierze „Wodewilu warszawskiego”, sztuki z lat pięćdziesiątych autorstwa Gozdawy i Stepania, kiedyś bardzo popularnej, a ostatnio zapomnianej. Temat odbudowy stolicy zainteresował widzów. Aktorzy Lubuskiego Teatru, kierowani przez reżysera Zbigniewa Czeskiego, wprowadzili w najgłębszy nurt przemian, jakimi żyła Warszawa, w atmosferę pełną entuzjazmu, zapachu do pracy i optymizmu. Pokazano również ból i trapienia warszawiaków — kłopoty telefoniczne, tramwajowe, ogonki — wszystko to jednak podane zostało z dowcipem i humorem. Sztuka z pewnością nie byłaby ciekawa i zajmująca bez bardzo dobrej oprawy muzycznej, o co zadbał kierownik muzyczny Jerzy Bechynie oraz realizator nagrania Janusz Wiśniewski, a także popularnych piosenek z tamtych lat („Budujemy nowy dom”, „Małe mieszkanko”), które aktorzy śpiewali z radością i ciepłem.

Scenografia w wydaniu Liliany Janowskiej była oszczędna, raczej symboliczna. Zazwyczaj dwa lub trzy charakterystyczne rekwizyty pozwalające widzowi dostrzec budowę resztę, a więc jeśli Warszawa — to estetyczna kamieniczka ze Starego Miasta, jeśli tramwaj

Od lewej: Barbara Lauks, Jerzy Borek, Janina Buławianka

— to kij z uchwytem, wewnątrz kamienicy cioci — to charakterystyczny okrągły stół, dwie pufy i klatka z papugami; gabinet dyrektora — biurko i propagandowa tablica z napisem „Wykonaj plan”, budowa — kawałek muru, Łazienki — duża fotografia w ozdobnej ramie, ze stawem i pływającymi po nim labędziami.

Sztukę rozpoczyna kilka piosenek o Warszawie, przy czym następuje prezentacja żyjących w tym czasie grup społecznych. Ze strojów poznajemy zwolenników dawnych poglądów na ustroju społecznym, inteligencję i robotników warszawskich. Widzimy ludzi, którzy z wielkim oddaniem i entuzjazmem odbudują Warszawę — Felka, Inżyniera Wierczorka, Zosię, Helę i całą grupę murarzy, ale i tych, którzy chcą temu przeszkodzić, pana Roberta i ciocię Matyldę.

Interesujące przedstawione zostały wątki miłości Inżyniera i Zosi oraz Hele i Felka, a zabawnie — plany małżeńskie pana Roberta. Jednak nie wszystkie sceny były rozegrane dobrze, np. piosenka o małym mieszkanku powinna być zaśpiewana z radością związaną z urządzaniem przez młodą parę mieszkania, a wypadła żle, bo wykonali ją źle, jakby tymi planami pogardzili. Mało dowcipnie wypadła pomyłka z listami, a dokładniej sam moment odczytywania zmiast planu budowy — przepisu na ciasteczka dla pani Buby. Ciekawie zaprezentowali się: Zosia (Anna Janiak-Chojnacka) i Inżynier (Piotr Lauks) w scenie wyznania miłości. Trafnie oddany został humor tłoku w tramwaju. Do najbardziej udanych należały dialogi cioci Matyldy (Janina Buławianka) z Robertem, świetna scena opowieści Felka (Bogdana Warchola) o tym, jak Inżynier „wykończył” Jadwigę. Nie brakuje też dowcipu w sytuacji przed WSS, kiedy po wyznaniu Inżyniera „Jestem pierwszy”, ustawia się na tyłach kolejka, a gdy Felek na spotkaniu u Wierczorków śpiewa piosenkę, chce się zaśpiewać razem z nim.

Do najlepszych kreacji aktorskich wieczoru należy zaliczyć grę Bogdaną Warcholę (Felka) i Janinę Buławiankę (ciocię Matyldę). Pierwszy z młodzieńców wdziękiem zaprezentował postać murarskiego chłopca małowiednego, pracowitego, skromnego, który z dużym temperamentem potrafił opowiadać Helę o swojej pracy, a nawet sam ułożył piosenkę. Natomiast Janina Buławianka to doskonały typ cioci „z pretenjami do teraźniejszości”. Ten typ został dobrze dobrany do psychologicznych możliwości aktorki. Jej modulacja głosu, gestykulacja, przyciągała uwagę widza i wprowadzała na scenę dużo zdrowego humoru. Piotr Lauks jako Inżynier to postać zbyt papierowa, za bardzo słzywna, ciekawa natomiast w scenach miłosnych wyznań. Zosia, siostrzenica cioci Matyldy (Anna Janiak-Chojnacka) stanowczo razila ucho widza w mówionych partiach tekstu. Brakowało w niej ciepła i dziewczęcości. Na uwagę zasługuje natomiast jej dziewczęcy głos. Sympatyczna okazała się kreacja Barbary Lauks (Hele). Umiała pokazać i prostotę, i rezerwowość, zaradność, dowcip i temperament. Jerzy Borek grał dobrze, ale nie wzbogacił niczym postaci pana Roberta. Zdzisław Grudzień okazał się dobrym ojcem a i całkiem pozytywnym majstrom. Zupełnie poprawny był typ ważnego, jaki stworzył Leszek Polessa.

Reżyser poprowadził spektakl z prostotą, z dużym wyczuciem estetycznym w rozmieszczeniu bohaterów sztuki na scenie. Spektakl zyskał dzięki temu na widowiskowości.

Nagromadziło się sporo kontrowersji wobec wyboru na premierę sezonu takiej propozycji. „Wodevil warszawski” niektórzy uważają za ramotę. Zgodzić się można z tym, że sztuka jest prosta, nie ukazuje głębi psychiki ludzkiej. Na tomiasz problem budowy i związanych z nim perypetii nie jest banalny, a zawsze aktualny. I tak jak kiedyś, gdy powstawał pierwszy spektakl w reżyserii Pawłowskiego, a było to w maju 1950 r., aktorzy jeździli uczyć się od warszawskich murarzy ruchów, mimiki, tak być może dziś — budowniczym powinni uczyć się od aktorów z zapalem, może z piosenką na ustach, wznieść nowe domy.

ANNA DZIECHCIAROW

Teatr Lubuski im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze. Premiera 27 września 1986 r., reżyseria Zbigniew Czeski, aranżacja, przygotowanie wokalne, kierownictwo muzyczne: Jerzy Bechynie, realizacja nagrania: Janusz Wiśniewski, asystent reżysera: Sigrd Siewior, inspicjent: Dobrosława Trębacz.

Obsada:

Ciocię Matylda — Janina Buławianka; Zosia — Anna Janiak-Chojnacka; Hele — Barbara Lauks; Michał — Ferdynand Zaluski; Główny kierownik — Janina Dobrzańska; Palaszewska — Sigrd Siewior; Pan Robert — Jerzy Borek; Inżynier — Piotr Lauks; Wierczorka — Zdzisław Grudzień; Dyrektor — Henryk Tomczyk; Woźny — Leszek Polessa; Konduktor — Roman Garbowski; Lekarz — Tadeusz Bartkowiak; Urzędnik — Małgorzata Wower; Krystyna — Siołek; Murarze — Jan Bogusz, Wiesław Motek, Ireneusz Kozioł; Felek — Bogdan Warchol.



Gdańsk XI ciepły i serdeczny

Wszyscy wiedzą, jak fatalny był ostatni sezon naszej kinematografii. Nie należy się więc dziwić, że filmowcy z chęcią do Gdańska albo z duszą na ramieniu, albo co najmniej z blizną sercem zostali w większości oczarowani. „Chwały” pominiemy litościowym milczeniem, gdyż tym razem było znacznie więcej filmów wartościowych. Jedno tylko martwiło nas wszystkich: absolutnie brakowało dzieła na europejską skalę; żaden film nie wybił się tak bardzo ponad inne, aby stać się powszechnym kandydatem do „Złotych Lwów Gdańskich”.

O wiele więcej z kiedykolwiek filmów mogło kandydować do nagrody głównej, która ostatecznie, na podstawie głosowania jury 7:4 przypadła „Siekierzadzie”. Film otrzymał więc pierwsze miejsce znaczną przewagą głosów, ale nie jednogłośnie. W tych warunkach nie dziwiło się rozterkom członków jury, wśród których widziało się wielu fachowców z różnych dziedzin twórczości i krytyki filmowej.

„Siekierzadzie” to wybitne, malarzkie i poetyckie, dzieło znanego twórcy „Żywota Mateusza”, „Konopieli” — Witolda Leszczyńskiego. Film wspiera ją znakomite zdjęcia Jerzego Łukaszczyka, muzyka Jerzego Satanańskiego i Vivaldiego, wreszcie kreacje — Edwarda Zentary i nagrodzonego w Gdańsku Ludwika Paka.

Z równym entuzjazmem odniosło się jury do „Cudzoziemki”, najlepszego filmu w twórczości Ryszarda Bera (nagroda specjalna), ze znakomitą kreacją słusnie nagrodzonej Ewy Wiśniewskiej. Jednakże również dobra i całkiem inna była w niedostrzeżonym przez jury, w wybitnym, współczesnym filmie Tomasza Zygady: „Sceny dziecięce z życia prowincji”, gdzie prześiępiono tak że zdumiewającą kreację Henryka Bisty, w opracowane w każdym szczególe roli wypadł, łagodnie mówiąc, nieprzekonywujący.

Jeśli jakiegokolwiek jury całkowicie nie mogą zrozumieć, to nagrody dla Krzysztofa Pieczyńskiego za „Jezioro Bodeńskie”, gdzie w bardzo źle napisanej roli wypadł, łagodnie mówiąc, nieprzekonywujący.

„Typowe” nagrody za reżyserię filmów „kinowych” — dostali dwaj realizatorzy. Popieram w pełni nagrodę dla Radosława Piwowarskiego. Jego „Kochankowie mojej mamy” są całkowicie inni od filmu „Yesterday”. Uważam, że ma on bardzo różnorodny talent oraz przedstawia widzom jakby odnowioną

Krystynę Jandę, która nareszcie nie udaje (jak udawała całkowicie niewiarygodną postać reporterki w „Człowieku z marmuru”) lecz w przykrej, nawet okrutnej roli jest całkowicie naturalna i — rzekłbym — rewelacyjna. Z mniejszym entuzjazmem odnoszę się do nagrody dla filmu Feliksa Falka „Bohater roku”, a to dlatego, że: tempo jest w nim słabsze niż w „Wodzie”; Stuh jakby postarzeli i przygaszono; a scenariusz trochę nazbyt zagmatwany. Niemniej jest to godny uwagi film o czasach współczesnych.

Podobnie jak z „Siekierzadą” i „Cudzoziemką”, w pełni zgadzam się z „Brazowymi Lwami” dla dwu znaczących debiutów. Debiutem kinowym jest film Andrzeja Domalika „Zygfryd”, we dług dyskretnie „homoseksualnej noweli” Jarosława Iwaszkiewicza. Starszy kulturalny człowiek (w tej roli zbyt zimny Gustaw Holoubek) zakochuje się w młodym i fascynującym cyrkowcu (w tej roli bohater „Dreszczy”, bezbłędny Tomasz Hudziec), następnie obaj przeżywają rozmaite rozterki, które doprowadzają do okrutnej w skutkach katastrofy. Obok nich występują: dynamiczny, jak nigdy dotąd, Jan Nowicki (kierownik cyrku), piękna i wybitnie utalentowana Maria Pakulnis (jako jego żona), Adam Ferency (jako malarz) i znów Edward Zentara (jako dyskretny, opanowany lokaj). Wszystko razem rozgrywa się na tle fotogenicznego San domierza, jest pięknie fotografowane przez Grzegorza Kędzińskiego i skomentowane muzycznie przez Roberta Satanańskiego. Nagrodzona za dwie inne, raczej epizodyczne i słabsze, role Maria Pakulnis nie otrzymała nagrody za rolę w „Zygfrydzie”, w którym zagrała najlepiej. Obok wymienionej już Ewy Wiśniewskiej, „Brazowe Lwy” otrzymał zasłużenie Ludwik Pak za rolę drugoplanową w „Siekierzadzie”. Obok Zentary, a przed Olbrychskim, ukazującym się w ostatnich 15 minutach filmu — ma on niewątpliwie rolę podającą. A jeśli już o pierwszoplanowych rolach mowa, jedyne co mnie zdumiewa, to przegapienie przez jury Janusza Zakrzęskiego, który trzymał na swoich barkach cały ciężar trzygodzinnego filmu „Nad Niemnem”. Ten godny pochwały wysiłek Zbigniewa Kuźmińskiego, z fantastycznie reżyserowanym i granym zakończeniem, jakby nie został dostrzeżony przez jury. Tym czasem w filmie już tak jest, że jeśli obie role są równe dobrze grane — np. Pak i Zakrzęskiego — dłużej i lepiej pamięta się tę, której wykonawca przez dwie i pół godziny jest na ekranie. Ostatnia, równie wybitna rola męska w polskiej kinematografii, to Jerzy Bińczycki w „Nocach i dniach”.

Pozostałe laury zostały na ogół przyznane sprawiedliwie. Za zdjęcia nagrodę otrzymał Krzysztof Pakulski, autor oprawy artystycznej dwu odmiennych w stylu fotografowania, ale nowatorskich filmów — „Przez dotyk” Magdaleny Łazarkiewicz (także nagroda dziennikarska) i „Ucieczki” Tomasza Szadkowskiego. Oba filmy, co staje się w naszej tv „drugą naturą”, są o schizofreniach. W pierwszym — dwie piękne i interesujące kobiety przeżywają rozterki w szpitalu położniczym. W drugim — chłopiec z domu dla nerwowo chorych z dziewczyną — zapewne narkomanką — ucieka samochodem przed pościgiem, co w takich warunkach też musi skończyć się tragicznie. Cała

orka (Grażyna Szapolowska i Maria Ciunelli) oraz Adrianna Biedrzyńska i Zbigniew Zamachowski gra wspaniale. Młody chłopiec, który nie tak dawno był raczej sztywny w „Wielkiej majówce” K. Rogulskiego, tu tworzy kreację znerwicowanego, młodego inteligenta, z precyzją godną największej uwagi. Andrzej Przedworski stworzył naprawdę najwspanialszą scenografię do filmu „Osobisty pamiętnik grzesznika”, lecz tu słowo „scenografia” mści się, gdyż zapewne wbrew intencjom reżysera — nie oglądamy filmu, lecz pudło sceny. Trudno o film bardziej statyczny. Jerzy Maksymiuk dostał chyba zasłużoną nagrodę za muzykę do tegoż dzieła. Wreszcie Elżbieta Kurkowskiej przyznano nagrodę za montaż filmu „Ga-ga chwala bohaterom” Piotra Szulki. Komentuję to w ten sposób: albo materiał był tak bałaganiarski, że poprawne i czytelne jego zmontowanie graniczyło z cudem, albo film Szulki musiał otrzymać jakąś nagrodę. Moim zdaniem, zasłużył na nią montażysta (lub montażystka) filmu „Sceny dziecięce z życia prowincji”.

Komentarza wymagają także nagrody póżaregulaminowe. Tu na czoło wysu-



Ewa Wiśniewska — nagrodzona za kreację w filmie „Cudzoziemka”, reż. Ryszarda Bera

wa się nagroda dla filmu Janusza Majewskiego „C.K. Dezerterzy”, przyznana przez OPRF w Gdańsku za film, który rokuje najlepsze nadzieje kasowe. Ten bardzo zabawny obraz, wyświetlający byt poza konkursem, gdyż jego twórca przewodniczył jury. Kolo Reżyserów Stowarzyszenia Filmowców Polskich uhonorowało nagrodą dla najlepszego kierownika produkcji — Tadeusza Drewna, a firma „Agfa Gaevert” przekazała jury nagrodę dla najlepszego operatora pracującego na tym negatywie. Otrzymał ją Witold Adamek za zdjęcia do filmów „Jezioro Bodeńskie” i „Bohater roku”. Wszystkie uwagi, jakie mam tutaj do werdyktu jury, nie są jakimkolwiek przejawem dezaprobaty. Było bardzo wiele filmów (i kreacji) dobrych, predestynowanych do nagrody. Rozumiem, że jury musiało dokonać wyboru.

Poza wymienionymi już filmami, zwrócił na siebie uwagę „Chrześniak” Henryka Bielskiego, z bardzo poprawną kreacją Macieja Góraj. Godne zauważenia były: „W cieniu nienawiści”, udany debiut Wojciecha Ziłkowskiego; „Weryfikacja” Mirosława Grońskiego, rozgrywająca się w środowisku dziennikarskim, z wybitną kreacją Marka Kondrata; i w zaskakujący sposób „Na całość” Franciszka Trzciacka. W przeciwieństwie do osiągnięć

no-romantyczne zakończenie. Przede wszystkim jednak starano się znaleźć bliskich krewnych tego filmu. „Brzezi” na „Panny z Wilka”. Wreszcie zgodzili się wszyscy, że najbliższą duchowo i materialnie jest „Dolina Issy” Miłosza — Konwickiego, ale film Wajdy jest dramaturgicznie daleko bardziej interesujący. Druga, i z całą pewnością nie mniejsza, sensacją było zaprezentowanie „Piratów” Romana Polańskiego i to w obecności twórcy. Prawde powiedzawszy, bardzo długi film z minimalną ilością gagów rozczarował widzów. Polański przyznał, że nie miał gagmanów i żałował, iż film „szedł” dobrze w Paryżu, a bardzo źle w USA. Niemniej ma on trzy mocne atuty: zdjęcia Sobocinińskiego, piękny galeon i zwłaszcza trzymająca cały film na nogach kreację Waltera Mattaia jako „głównego pirata”.

Podziwiam zawsze niesłychaną energię, jaką przejawia gdański Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpoznawania Filmów, ustawiając logiczny program kina festiwalowego i przygotowując „repery” w kinach Gdańska, Sopotu, Gdyni, a nawet Elbląga, goszcząc filmowców polskich, rezerwując hotele, codziennie wydając gazetki festiwalowe. Jest to robota wcale nie gorsza niż na międzynarodowych festiwalach.

LEON BUKOWIECKI



PROPOZYCJE DUŻO ZAINTERESOWANIE MAŁE

Pierwszy tydzień października upłynął w Zielonej Górze i na środkowym Nadodrzu pod znakiem muzyki. Z okazji Międzynarodowego Dnia Muzyki, a także w czterdzięciolecie działalności, zawsze przebiega Lubuskie Towarzystwo Muzyczne im. Henryka Wieniawskiego zorganizowało już dwudziestą czwartą Zielonogórską Spotkania Muzyczne. Jak każdego roku, tak i obecnie na festiwal przybyły znakomite polskie sal koncertowych — sławne orkiestry, soliści, nie zabrakło talentów miejscowych.

Spotkania zainaugurował koncert w wykonaniu Zespołu Muzyki Cerkiewnej pod dyrykcją księdza Jerzego Szurbaka. Muzyka cerkiewna, będąca swoistą syntezą elementów bizantyjsko-greckich i staroruskich, w interpretacji zespołu ukazuje swój specyficzny charakter. Chór występował w Zielonej Górze po raz trzeci, dając tu swój 562 koncert, i po raz trzeci w wypełnionym kościele pod wezwaniem Najświętszego Zbawiciela. Jest

to chyba największa sala koncertowa w Zielonej Górze. Następne koncerty odbywały się przy coraz mniejszym zainteresowaniu publiczności. Na recital organowy doceniał warszawskiej Akademii Muzycznej Stanisław Morawski, przyszło może 100 słuchaczy. W drugiej części koncertu występował Chór Kameralny LTM pod dyrykcją Ireny Marciniak, wykonując Mszę P. T. Gra. Był to premierowy koncert tego zespołu, który powstał dopiero w tym roku. Koncert został powtórzony w Jordanowie, a chórem dyrygował Stanisław Ciomek. Trzeciego dnia Spotkań w sali Filharmonii Zielonogórskiej przy zaledwie 45 słuchaczach koncertowała orkiestra barokowa „Concerto avanna”, w skład której wchodziła w większości dawni członkowie Polskiej Orkiestry Kameralnej Jerzego Maksymiuka. Orkiestra wykonała utwory polskiego i europejskiego baroku, w sposób ściśle odpowiadający dawnej estetyce i praktyce muzycznej.

Repertuar Spotkań był bardzo ciekawy, różnorodność propozycji ogromna, przeważała jednak muzyka dawna. Prócz już wymienionych, dał swój koncert Zespół Muzyki Dawnej, prezentując „Ballady rycerskie i szewalskie”. Orkiestra symfoniczna Filharmonii Zielonogórskiej wystąpiła pod dyrykcją bułgarskiego dyrygenta Andreja Andrejewa. Codziennie w Muzeum Ziemi Lubuskiej Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki lub w Domu Kultury „Mrowisko” odbywały się recitale. Jadwiga Skoczylas, solistka Teatru Wielkiego w Warszawie, śpiewała utwory M. Musorgskiego, P. Perikowskiego i M. A. Rimskiego-Korsakowa. Utwory J. S. Bacha, F. Chopina i K. Szymanowskiego grała Elżbieta Nawrocka, zielonogórzanka, obecnie studiująca w warszawskiej Akademii Muzycznej. Z recitalem fortepianowym wystąpił bodaj najlepszy aktualnie polski pianista — Paweł Skrzypczak (grał muzykę F. Chopina i M. Musorgskiego). „Chopin Trio” tworzą wybitni już, choć jeszcze młodzi legitymujący się zna-

czącymi sukcesami w kraju i za granicą muzycy. W Zielonej Górze pokazali, ile znaczy połączenie młodości, talentu i doświadczenia. Do grona wyróżniających się młodych polskich skrzypków należą zielonogórzanie Dorota Siuda i Jarosław Zolnierczyk, kandydaci na Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. Henryka Wieniawskiego w Poznaniu, wychowankowie prof. Stanisława Hajzera.

Zielona Góra jest średniej wielkości ośrodkiem muzycznym. W mieście mieszka spora grupa muzyków profesjonalistów, nauczycieli szkół muzycznych, wykładowców Instytutu Wychowania Muzycznego WSP, kilku kompozytorów i liczna grupa amatorów życia muzycznego. Są jeszcze uczniowie szkół muzycznych, studenci wychowania muzycznego i wydziałów instrumentalnych akademii muzycznych. No i jest niemało melomanów. Gdyby nie ci ostatni, w salach koncertowych byłoby pusto.

Koncerty odbywające się w Zielonej Górze były powtarzane w Nowej Soli, Wolsztynie, Lubsku, Świebodzinie, Jordanowie, Zaganii, Gubinie i Zaborze. Zainteresowanie zielonogórzan Spotkaniami było małe, w miastach środkowego Nadodrza — przeciwnie. Artysty wracali zadowoleni, sugerując by podczas następnych festiwali muzycznych więcej koncertów LTM organizowało poza Zieloną Górą.

Organizatorom zależało na tym, by każdy mieszkaniec miasta i województwa w bogatym programie znalazł coś dla siebie, stąd koncerty w salach domów kultury, muzeów, kościołów. Wszystkie propozycje artystyczne były na wysokim poziomie. Przed każdym koncertem prelegent omawiał repertuar, podawał historie zespołu, objaśniał program. Wszystko po to, by ludzi zainteresować muzyką. Do organizatorów nie można mieć żadnych zastrzeżeń, zrobili, co należało do nich. Zorganizowali imprezę, wydrukowali afisze, programy, rozdali 150 zaproszeń indywidualnych.

AS

Regionaliści znad Warty

ciąg dalszy ze str. 5

tym sejmiku towarzystw regionalnych województwa gorzowskiego. A sejmik, takie odniosłem wrażenie, obradował niefemalnie, jakby czymś zaleźniony, bez ognia, którego przecież w codziennym krzątaniu nie brakuje działaczom, nie w centrum problemów i wydarzeń, dla przyszłości kulturalnej gorzowskiego regionu niezwykle ważnych, tylko na ich obrzeżach. Jedynie Stefan Wachnowski upominał się o rzecz naprawdę dla regionu ważną: o budowę gmachu dla biblioteki wojewódzkiej, która w dotychczasowym budynku nie może się już pomieścić, nie mówiąc o jakiegokolwiek działalności upowszechnionej. Sugerował też

pożyteczniejsze dla regionu wykorzystanie miejscowych zakładów graficznych. Dyrektor Korban zauważył, że gdyby ze słów można było zbudować bibliotekę, to ona dawno by już powstała.

Z zacięciem, co warto odnotować, wysłuchano Eugeniusza Koniecznego, nauczyciela, absolwenta zielonogórskiej WSP, opiekuna jednego ze szkolnych kół przyjaciół regionu, który przedstawił niebanalny program pracy z młodzieżą. Doświadczenia tego młodego regionalisty warto upowszechnić, bo przyszłego działacza, także kultury, kształtuje się już w szkole.

Prezesem Gorzowskiego Towarzystwa Kultury został ponownie wicewojewoda Mirosław Sopalak. Dyrektor Edward Korban w swoim wystąpi-

niu zapewnił zebranych, że prezes Sopalak tyle będzie miał pieniędzy, na działalność w Towarzystwie, ile mu przekaże wicewojewoda Sopalak. Oby tych pieniędzy było jak najwięcej na dalszą edyorską działalność GTK, a jest to działalność godna uznania, na utworzenie stałej ekspozycji prac rzeźbiarskich Romany Kaszczyc i „jej dzieci”, bo to co robi ta artystka jest przykładem, jak regionalne może się stać ogólnopolskie, na popularyzowanie dorobku i większe spożytkowanie energii twórczej Andrzeja Gordona, na pomoc dla miejscowego środowiska literackiego, wreszcie na reaktywowanie imprezy naukowo-literackiej z jej wszystkimi pochodnymi pod hasłem „Człowiek a przyroda”, i na wiele innych, ważnych dla Gorzowa Wlkp. i regionu, po czynia.

JACEK WOCH

camera filatelistica

Wyspa Islandia położona w pn. części Oceanu Atlantyckiego o powierzchni 103 tys km kw. jest krajem wyjątkowym z 30 czynnymi wulkanami i licznymi gejzerami. W pd. części posiada klimat umiarkowany, chłodny morskimi, zaś w północnej subpolarny. Ponad 12 procent powierzchni wyspy pokrywają lodowce z największym w Europie — Vatnajökull. Niemal 1 procent zajmują ziemie orne. Zamieszkuje wyspę ponad 230 tys. ludności w większości w miastach. Stolicą kraju jest Reykjavik liczący prawie połowę mieszkańców wyspy. Ludność, potomkowie przybyszów z Norwegii, zajmuje się głównie rybołówstwem morskim (połów sieni i dorszy) i przetwórstwem rybnym.

Odkryta w 867 r. przez Norwegów została przez nich zasiedlona. Około 1000 r. następuje chrystianizacja ludności. Samodzielność Islandii upada w XIII r. Od XIV połączona z Danią. W 1874 r. otrzymuje częściową autonomię. W 1918 r. staje się suwerennym państwem połączonym jedynie unią personalną z Danią. W czasie II wojny światowej wyładowały tutaj najpierw wojska brytyjskie, zastąpione następnie przez amerykańskie. W 1944 r. proklamowano republikę.

Historia łączności pocztowej w zasadzie rozpoczyna się w 1776 r. kiedy między Reykjavikiem a Kopenhagą ustanowiono stałe połączenie pocztowe (początkowo raz w roku). W 1831 r. zwiększono do 3 rejsów. Później zorganizowano połączenie między Reykjavikiem a Liverpooliem. Od 1870 r. pocztowa łączność rozszerzona na Wyspy Owcze (Feroer) i Szwecję. Od 1831 r. dostarczano pocztę trzy razy w roku do poszczególnych osiedli leżących na zachodnim wybrzeżu wyspy, w 1837 r. także na

ISLANDIA

wachodnim, a od 1849 r. na południowo-wschodnim. Duńskie urzędy pocztowe stosowały stemple numerowe w Reykjaviku od 1870 r. (236) i w Seydisfjörður od 1873 (237).

Pierwsze znaczki z napisem „ISLAND” ukazały się w 1873 r. Seria składała się z 5 wartości: 2, 3, 4, 8 i 16 sk. Znaczki te z oryginalnymi stemplami są bardzo poszukiwane, stąd liczne fałszerstwa stempli. Zmiana systemu monetarnego spowodowała wprowadzenie w 1876 r. znaczków z nowym oznaczeniem wartości (aurar). Brak znaczków o nominalnie 3 aurar przyniósł w 1897 r. pojawienie się nadruków „3 prir” na posiadanych zapasach znaczków 5 aurar.



50 AUR ISLAND
NEKLA 1947

W 1902/1903 r. wydano serię nadruków „1 gildi 02—03” na znaczkach dotychczasowych wydań. Władze pocztowe zapomniały wysłać tę serię do UPU w Bernie. W 1904 r. wykonano nowodruki tych znaczków, także urzędowych z tym nadrukiem i przekazano do Światowego Związku Pocztowego. W 1930 r. wydano serię znaczków dla upamiętnienia 1000-lecia Althingu (parlament). Znaczki te miały się ukazać w niskich nakładach do 25.000 sztuk. Okazało się jednak, że wydrukowano ich więcej, od 17.000 do 300.000 egzemplarzy. Zlecono więc wydanie drugiej serii tym razem nie w Wiedniu, a w Anglii. Te znaczki ukazały się w nakładach od 25.000 do 40.500 sztuk. W 1937 r. wydano pierwszy blok Znaczki lotnicze emitowane są od 1928 r., kiedy ukazał się znaczek LO z nadrukiem samolotu. W 1931 r. wydano serię znaczków upamiętniających lot sterowca „Graf Zeppelin” do Islandii. Lot Włochów do USA przez Islandię wykorzystał do wydania w 1933 r. 3 znaczki (nadruki „Hopflus Italia 1933” na znaczkach wydań zwyczajnych: 1,5 10 kr) w bardzo niskich nakładach (od 4.000 do 5.900 sztuk), które na oryginalnych listach należą dzisiaj do najdroższych znaczków tego kraju, stąd również liczne fałszerstwa. W 1973 r. wydano serię 5 znaczków upamiętniających 100-lecie znaczka, a w 1976 r. 200-lecie islandzkiej służby pocztowej. Rocznie Islandia wydaje 10—12 znaczków okolicznościowych. Znaczniki tego kraju emitowane w przeciętnych nakładach 1—2 mln sztuk cieszą się dużym zainteresowaniem nie tylko wśród zbieraczy skandynawskich.

Czy obecne spotkanie Ronalda Reagana z Michałem Gorbaczowem upamiętni Poczta Islandii okolicznościowym wydaniem znaczków pocztowych, przekonamy się wkrótce.

Fot. L.H.

M. SŁAWOMIR

Nadodrże

szkoła zatrudnia 7 nauczycieli, którzy udzielają lekcji 70 uczniom. Najzdolniejsi absolwenci PSM kontynuują naukę w gorzowskiej szkole II stopnia lub szkołach średnich większych miast. Podczas jubileuszowych obchodów odbył się koncert, w którym wystąpili najlepsi uczniowie, a także chór kierowany przez dyrektora Tadeusza Rachlewicza.

GORZÓW. Koncertem orkiestry symfonicznej Filharmonii Zielonogórskiej pod dyrykcją Andreja Andrejewa zainaugurowano Gorzowskie Dni Muzyki. Organizatorzy zaprosili do udziału w Dniach wybitnych solistów i zespoły, m.in. zespół kameralny „Camerata Vistula”, „Trío Ceacoviensis”, zespół „Basspace”, Kwintet Instrumentów Dętych z Bańskiej Bystrzycy (Czechosłowacja), Urszulę Trawińską-Moroz, Barbarę Pyrkosz-Soyta, Józefa Stompa, Jana Krzysztofa Kiełbasiewicza, Marię Baranowską. Gorzowska orkiestra „Odeon” pod dyrykcją Szczepana Kaszyńskiego i chór Państwowej Szkoły Muzycznej I i II stopnia przygotowali balet sceniczną „O Królowie, co spać nie chciał”. Głównym organizatorem Dni jest Gorzowskie Towarzystwo Muzyczne im. Henryka Wieniawskiego.

MIĘDZYRZECZ. 28 par bezklasowych i E-klasowych wzięło udział w ogólnopolskim turnieju tańca towarzyskiego. W kategorii par klasy E zwyciężyli Anna Balcerzyk i Paweł Rubiński z Kalisza, a w rywalizacji par bezklasowych — Joanna Depta i Bogdan Rycharski z Międzyrzecza.

TORZYŃ. Od 6 lat są organizowane Dni Prasy Ludowej. W województwie zielonogórskim zainaugurowano je podczas dotychczasowych w Torzynie. Z mieszkańcami Gądkowa Wielkiego, Lubina i Torzyska spotkali się dziennikarze „Dziennika Ludowego”, „Tygodnika Ludowego” i „Zielonego Sztandaru”. Podczas Dni zorganizowano loterię fantową, z której dochód przekazano na konto funduszu pomocy szkole.

ZIELONA GÓRA. Z udziałem władz miasta odbyło się posiedzenie Komitetu Organizacyjnego Dni Zielonej Góry „Winoobranie '88”. Podczas spotkania najbardziej ofiarnym organizatorem i osobom wręczono nagrody oraz dyplomy. Zdaniem wiceprezydenta Zielonej Góry, miasto dobrze przygotowało się do swojego święta. Zdaniem gości i zielonogórzan, tegoroczne „Winoobranie” było nudne. Kto ma rację?

TARGOSZYN. Zakład Doświadczalny Wojewódzkiego Ośrodka Postępu Rolniczego otrzymał nagrodę specjalną Ministerstwa Kultury i Sztuki za użytkowanie zespołu pałacowo-parkowego. W województwie legnickim spośród 172 obiektów zabytkowych zaledwie kilka ma odpowiednich użytkowników. Najlepiej jest zagospodarowywać i użytkować park i pałac w Targoszynie, od 20 lat należący do WOPR, którym kieruje mgr inż. Irminda Bocheń. W pałacu znajdują się sale wykładowe, biblioteka rolnicza, biura i mieszkania, zaś w parku odbywają się imprezy kulturalne i sportowe.

LAUREACI. Podczas IV spotkań prasy regionalnej redakcji „Ziemi Gorzowskiej” wręczono „Laur wigilski” za działalność interwencyjną. Nagrodę prezesa Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch” dla najlepszego tygodnika regionalnego w ocenie wydawcy otrzymała redakcja „Nowin Jeleniogórskich”. Dariusz Muszer ze Strzelec Kraja zdobył pierwszą nagrodę, a Czesław Sobkowicz z Zawady koło Zielonej Góry — drugą w dorocznym konkursie poetyckim pt. „Strofy dla miasta”, organizowanym przez glogowskie placówki kultury. Mariusz Pękala, członek teatru „Drewniana Kurlina” z Zarskiego Domu Kultury, otrzymał drugą nagrodę podczas ogólnopolskiego turnieju recytatorskiego „I Bieszczadzkie Spotkania z Literaturą Światową”. Gratulujemy!

DNI KULTURY NRD. W czerwcu bieżącego roku w NRD odbywały się „Dni Kultury PRL”, obecnie w 16 województwach rozpoczynają się „Dni Kultury NRD”. Podczas Dni odbędą się wiele imprez, m.in. koncerty Filharmonii Drezdeńskiej w Warszawie, Krakowie i Katowicach; spektakle Teatru Miejskiego z Karl-Marx-Stadt w Warszawie i Łodzi; ekspozycja książek NRD w Warszawie; konferencja dyrektorów szkół baletowych Polski i NRD w Poznaniu; Dzień Berlina w Warszawie. Również w obu lubuskich województwach odbędą się imprezy w ramach Dni. W woj. gorzowskim swoją sztukę i kulturę będą prezentowali twórcy z okręgu Frankfurt nad Odrą. Oficjalna inauguracja „Dni Przyjaźni i Kultury Okręgu Cottbus” w woj. zielonogórskim odbędzie się w Zaganii. Na środkowe Nadodrze przybędą, m.in. grupa „Cottbuser Kindermusical”, Miejska Orkiestra Symfoniczna z Cottbus, 3 października br. w zielonogórskim Biurze Wystaw Artystycznych otwartą wystawę „Twórczość artystów plastyków okręgu Cottbus”, zaś w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki — wystawę prac członków Fotoklubu „Haus der NVA” z Cottbus.

W TEATRACH ŚRODKOWEGO NADODRZA: Gorzów — „Okapi”, „Iwona księżniczka Burgunda”; Zielona Góra — „Wodewil warszawski”.

ZAPROSILI NAS: Wojewódzki Dom Kultury w Gorzowie na IX Spotkanie Amatorów — Twórców i Wykonawców Piosenki „Myślibórz '86”, Lubuskie Towarzystwo Muzyczne w Zielonej Górze na XXIV Zielonogórskie Spotkania Muzyczne, (o imprezie tej piszemy obok) Galeria Sztuki PSP w Zielonej Górze na otwarcie wystawy grafiki Sławomira Janiaka z Torunia, Teatr Lubuski w Zielonej Górze na premierę „Wodewilu warszawskiego”, (recenzja na str. 8). Kuratorium Oświaty i Wychowania w Zielonej Górze na sesję popularno-naukową „Wychowujemy w duchu pokoju”. Wydział Kultury Urzędu Miejskiego w Zarach na inaugurację Roku Kulturalnego i Sezonu Artystycznego 1986/87. Biuro Wystaw Artystycznych na otwarcie wystawy „Sztuki plastyczne okręgu Cottbus”, Lubuskie Towarzystwo Kultury na otwarcie wystawy prac członków Fotoklubu „Haus der NVA” z Cottbus. Dziękujemy.

Nadodrże

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
ORGAN LUBUSKIEGO
TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: 65-067 Zielona Góra pl. Bohaterów Stalingradu 13 I p. oraz adres dla korespondencji: 65-935 Zielona Góra skrytka pocztowa nr 46. Telefon: redaktor naczelny i sekretariat 708-35, sekretariat redakcji 39-13 oraz centrala 46-61 do 7 razy telefon wewnątrz 46-61 do 7 razy telefon. Redaguje zespół: Halina Adamska-Szabek, Lucyna Grabowska, Leszek Hermanowicz (red. graf. techn.), Michał Horowicz, Janusz Koniński (red. naczelny), Małgorzata Kowalska Masłowska (statystyka), Zenon Łukasz

DOBIEGNIĘW. Wiosną tego roku powstało Dobiegnięwskie Towarzystwo Kultury. W miasteczku powstaje Muzeum Obozu Jęńckiego. — Woldenberg. Ożywiły się inne instytucje i placówki. Rada Miejsko-Gminna Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego wydała drugą z kolei jednolitą „Ziemią Dobiegnięwską”. Prócz bieżących informacji o pracy DTK, czynach społecznych mieszkańców gminy, sporcie w numerze poświęcono wiele artykułów. O zbrodniach hitlerowskich na ziemi dobiegnięwskiej w latach 1939—45 pisze M. Szambelan. W numerze znajduje się nie podpisany artykuł pt. „Zarys dziejów Dobiegniewa”, a także opowieść wspomnieniowa „Westerplatte”. O powojennej historii miasteczka bądź jego współczesności traktują artykuły D. Bartosz, Cz. Budzianowski i L. Korzeniowski. Zespół redakcyjny jednolitówki kieruje Janina Budzianowska.

STRZELCE KRAJ. Przed 10 laty w Strzelcach powstała Państwowa Szkoła Muzyczna I stopnia. Obecnie

absolwenci PSM kontynuują naukę w gorzowskiej szkole II stopnia lub szkołach średnich większych miast. Podczas jubileuszowych obchodów odbył się koncert, w którym wystąpili najlepsi uczniowie, a także chór kierowany przez dyrektora Tadeusza Rachlewicza.

GORZÓW. Koncertem orkiestry symfonicznej Filharmonii Zielonogórskiej pod dyrykcją Andreja Andrejewa zainaugurowano Gorzowskie Dni Muzyki. Organizatorzy zaprosili do udziału w Dniach wybitnych solistów i zespoły, m.in. zespół kameralny „Camerata Vistula”, „Trío Ceacoviensis”, zespół „Basspace”, Kwintet Instrumentów Dętych z Bańskiej Bystrzycy (Czechosłowacja), Urszulę Trawińską-Moroz, Barbarę Pyrkosz-Soyta, Józefa Stompa, Jana Krzysztofa Kiełbasiewicza, Marię Baranowską. Gorzowska orkiestra „Odeon” pod dyrykcją Szczepana Kaszyńskiego i chór Państwowej Szkoły Muzycznej I i II stopnia przygotowali balet sceniczną „O Królowie, co spać nie chciał”. Głównym organizatorem Dni jest Gorzowskie Towarzystwo Muzyczne im. Henryka Wieniawskiego.

MIĘDZYRZECZ. 28 par bezklasowych i E-klasowych wzięło udział w ogólnopolskim turnieju tańca towarzyskiego. W kategorii par klasy E zwyciężyli Anna Balcerzyk i Paweł Rubiński z Kalisza, a w rywalizacji par bezklasowych — Joanna Depta i Bogdan Rycharski z Międzyrzecza.

TORZYŃ. Od 6 lat są organizowane Dni Prasy Ludowej. W województwie zielonogórskim zainaugurowano je podczas dotychczasowych w Torzynie. Z mieszkańcami Gądkowa Wielkiego, Lubina i Torzyska spotkali się dziennikarze „Dziennika Ludowego”, „Tygodnika Ludowego” i „Zielonego Sztandaru”. Podczas Dni zorganizowano loterię fantową, z której dochód przekazano na konto funduszu pomocy szkole.

ZIELONA GÓRA. Z udziałem władz miasta odbyło się posiedzenie Komitetu Organizacyjnego Dni Zielonej Góry „Winoobranie '88”. Podczas spotkania najbardziej ofiarnym organizatorem i osobom wręczono nagrody oraz dyplomy. Zdaniem wiceprezydenta Zielonej Góry, miasto dobrze przygotowało się do swojego święta. Zdaniem gości i zielonogórzan, tegoroczne „Winoobranie” było nudne. Kto ma rację?

TARGOSZYN. Zakład Doświadczalny Wojewódzkiego Ośrodka Postępu Rolniczego otrzymał nagrodę specjalną Ministerstwa Kultury i Sztuki za użytkowanie zespołu pałacowo-parkowego. W województwie legnickim spośród 172 obiektów zabytkowych zaledwie kilka ma odpowiednich użytkowników. Najlepiej jest zagospodarowywać i użytkować park i pałac w Targoszynie, od 20 lat należący do WOPR, którym kieruje mgr inż. Irminda Bocheń. W pałacu znajdują się sale wykładowe, biblioteka rolnicza, biura i mieszkania, zaś w parku odbywają się imprezy kulturalne i sportowe.

LAUREACI. Podczas IV spotkań prasy regionalnej redakcji „Ziemi Gorzowskiej” wręczono „Laur wigilski” za działalność interwencyjną. Nagrodę prezesa Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch” dla najlepszego tygodnika regionalnego w ocenie wydawcy otrzymała redakcja „Nowin Jeleniogórskich”. Dariusz Muszer ze Strzelec Kraja zdobył pierwszą nagrodę, a Czesław Sobkowicz z Zawady koło Zielonej Góry — drugą w dorocznym konkursie poetyckim pt. „Strofy dla miasta”, organizowanym przez glogowskie placówki kultury. Mariusz Pękala, członek teatru „Drewniana Kurlina” z Zarskiego Domu Kultury, otrzymał drugą nagrodę podczas ogólnopolskiego turnieju recytatorskiego „I Bieszczadzkie Spotkania z Literaturą Światową”. Gratulujemy!

DNI KULTURY NRD. W czerwcu bieżącego roku w NRD odbywały się „Dni Kultury PRL”, obecnie w 16 województwach rozpoczynają się „Dni Kultury NRD”. Podczas Dni odbędą się wiele imprez, m.in. koncerty Filharmonii Drezdeńskiej w Warszawie, Krakowie i Katowicach; spektakle Teatru Miejskiego z Karl-Marx-Stadt w Warszawie i Łodzi; ekspozycja książek NRD w Warszawie; konferencja dyrektorów szkół baletowych Polski i NRD w Poznaniu; Dzień Berlina w Warszawie. Również w obu lubuskich województwach odbędą się imprezy w ramach Dni. W woj. gorzowskim swoją sztukę i kulturę będą prezentowali twórcy z okręgu Frankfurt nad Odrą. Oficjalna inauguracja „Dni Przyjaźni i Kultury Okręgu Cottbus” w woj. zielonogórskim odbędzie się w Zaganii. Na środkowe Nadodrze przybędą, m.in. grupa „Cottbuser Kindermusical”, Miejska Orkiestra Symfoniczna z Cottbus, 3 października br. w zielonogórskim Biurze Wystaw Artystycznych otwartą wystawę „Twórczość artystów plastyków okręgu Cottbus”, zaś w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki — wystawę prac członków Fotoklubu „Haus der NVA” z Cottbus.

W TEATRACH ŚRODKOWEGO NADODRZA: Gorzów — „Okapi”, „Iwona księżniczka Burgunda”; Zielona Góra — „Wodewil warszawski”.

ZAPROSILI NAS: Wojewódzki Dom Kultury w Gorzowie na IX Spotkanie Amatorów — Twórców i Wykonawców Piosenki „Myślibórz '86”, Lubuskie Towarzystwo Muzyczne w Zielonej Górze na XXIV Zielonogórskie Spotkania Muzyczne, (o imprezie tej piszemy obok) Galeria Sztuki PSP w Zielonej Górze na otwarcie wystawy grafiki Sławomira Janiaka z Torunia, Teatr Lubuski w Zielonej Górze na premierę „Wodewilu warszawskiego”, (recenzja na str. 8). Kuratorium Oświaty i Wychowania w Zielonej Górze na sesję popularno-naukową „Wychowujemy w duchu pokoju”. Wydział Kultury Urzędu Miejskiego w Zarach na inaugurację Roku Kulturalnego i Sezonu Artystycznego 1986/87. Biuro Wystaw Artystycznych na otwarcie wystawy „Sztuki plastyczne okręgu Cottbus”, Lubuskie Towarzystwo Kultury na otwarcie wystawy prac członków Fotoklubu „Haus der NVA” z Cottbus. Dziękujemy.

wicz (z-ca red. naczelny), Wiesław Nodajński (sekretarz red.), Piotr Piotrowski, Ryszard Rowiński, Alfred Siatecki. Korespondenci: Maria Fiedorowicz, Elżbieta Nesterow, sekretariat redakcji: Elżbieta Walenska. Wydawca: RSW „Prasa — Książka — Ruch” — Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe al. Niepodległości 25 65-042 Zielona Góra skrytka pocztowa 51. Centrala telefoniczna 46-61 do 67. Dyrektor: Zbigniew Pleśkiewicz tel. — 117-95. Druk: Drukarnia Prasowa ZWP 65-076 Zielona Góra ul. Reja 1 Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam. Ośrodek Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa-Książka-Ruch” 65-042 Zielona Góra al. Niepodległości 25 oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiałów (tekstów i fotografii) nie zamówionych redakcja nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skróć i zmian tytułów.

1-18

Tym, którzy szukają ścieżek poznania

Cicha jest ta ulica w Gorzowie. I cichy jest ten dom. Od frontu ogród — drzewa, parę krzaczków późnych pomidorów, które już chyba nie dojrzają, zwarzone paździenikowym chłodem. „Tutaj mieszkam...”

Tę samą ścieżką szłam kiedyś, wydaje mi się, że było to niedawno, po wywiad do pani Ireny. Przywitała mnie przyjazne szczytanie czołgiem, sympatyczne, co na wezwanie (Snept...) odmaszerowało posłusznie do nogi pana Michała...

Po herbacie wyszliśmy przed dom od drugiej strony i usiedliśmy przy wypłatanym stole. Wspaniałe miejsce — „Lepszy obiad”... Patrząc na żółknącą zieleni, była to bowiem także pora jesieni, słuchałam opowieści pani Ireny, głównie o zwierzętach. Jawiły się „cienie psów” przybyłe może z nieba, a z całą pewnością z przeszłości, której strzępy utrwalone są w przepięknych wierszach.

Wywiad w ostatecznym kształcie nie udało mi się nadwyczerpać, wypadł sztywno, bez owego serdecznego „światła, które ma siedem barw tęczy...”, jakie emanuje zarówno z wierszy pani Ireny, jak z niej samej. Może jeszcze nie miałam tej wrażliwości, co dziś? Wszak rozumieć — znaczy przeżyć, doświadczyć...

Tamte chwile sprzed paru laty powróciły do mnie teraz, gdy z całym zespołem redakcyjnym, w asyście wicewojewody gorzowskiego Mirosława Sopala i wiceprezesa Gorzowa Mieczysława Suleja odwiedziłam panią Irenę, aby uczestniczyć w małej uroczystości. „Nadodrza” przyznało jej swą docelową nagrodę 1986, jako skromny wyraz uznania dla jej twórczości, uwielbienia dla jej talentu oraz serdecznej sympatii do niej, jako do człowieka.

Zmienił się ten dom od czasu mojej wizyty. Brakuje w nim żywotności pani Michała, brakuje szczęśliwych, psich pomruków. Nie ma śladu po ogrodzie za domem. Zniknął wypłany stół, nie można nawet zebrać okrucichów po „Lepszym obiedzie”. A ciepło uśmiechu pani Ireny, dawniej rozłożone szeroko, dziś skupione zostało tylko w jednym spojrzeniu wielu pomieszczeń, pozostających pod tym obszernym dachem.

Pani Irena skrywa wstydzenie za hukletami kwiatów, którymi zostają obdarowana. Kobięcym ruchem poprawia włosy. Ma w zasięgu ręki nieodłączne rekwiizyty — maszynę do pisania, telefon, czyste kartki. Wszystko, co jest potrzebne do ukończenia książki. W powstających opowiadaniach ożywiają dawne przeżycia, a zdaje się, że wczorajsze zdarzenia, jakie

O Irenie Dowgielewicz

działa się w tym domu, z postaciami ludzi i zwierząt. „Dziękuję za dom, który” broni mnie przed światem... „Za zapach grzybów... Za spojrzenie starego, mądrego psa...”

Odwiedził ją niedawno pewien poeta z Zielonej Góry. Powiedział potem, że pani Irena jest „fascynującą osobowością”, czym wprawili w zdumienie młodego człowieka, imieniem Grzegorz. Ale Grześ ma niewiele lat i pewnie dlatego. Jak większość osób w jego wieku, nie lubi za bardzo zamyślać się nad rozmaitymi odmianami sensu i sposobu istnienia... „Książkę ciocia napisze, nie ma problemu” — oświadcza, przelatując lekko ponad mgłą, nieodłączną przecież każdemu twórcy słowa... „Ja piszę nie zdaniem, lecz słowami...”

Po grzecznościach i gratulacjach przenosimy się z domu pani Ireny do salonów Wojewódzkiego Domu Kultury. Tam, pod bogato zdobionym sufitem, w stylowym tle ze lśniącem fortepianem, para młodziutkich aktorów z gorzowskiego Teatru, odrobnie strimowanych i odrobnie przejętych, czyta słowa pani Ireny Dowgielewicz zawarte w wierszach i prozie. Wyobraźnia autorki, jej wielka, cudowna wrażliwość odbiła w poezji oraz jej wspomnienia rozsnuła między wierszami prozy, wszystko to nabiera specjalnego smaku, w tym otoczeniu i w tym dniu dzisiejszym — takim, jaki on jest, pełnym jesiennej smutku.

Oto Maria i Marta, dwie dziewczyny z lat 40-tych, biegą przez pole ścigane kulami... Gdzieś w głębi lasu zaczyna rodzic żona leśniczego. Trzeba zatelefonować. Stukanie... W drzwiach urzędu pocztowego staje opasy i senny kierownik...

„Cierpienie też jest miłością życia” — mówi jedna z dziewczyn. Wielka i przemożna jest miłość do życia. Z miłości do życia zabijają się samobójcy. Bo nie można żyć ze świadomością skazy na tym, co się kocha... „Umierałam już wiele razy...”

Dziewczyny biegą obserwowane przez żołnierzy niemieckich. Udały im się oddalić, zanim tamci „przełożyli drutność zjawiska na podejrliwość...”. Cóż za piękna proza.

„Słowo o niebie”: jest niebo w którym przebywają gruźlicy, reumatycy, epileptycy, ślepy i inni ludzie ciężko doświadczeni z życia. Daj Boże niebo takie, w którym znajdują się również zwierzęta, które umarły milcząc z winy człowieka, w wielkim, nieza-

ślonym cierpieniu. „Pies umierał dzielnie pod piecem c.o...” „Tylko motyle umierają łatwo...”

Znów obrazek z okupacji: zielona łaka, na niej egzekucja. Giną mężczyźni, a kobietom i dzieciom pozwolono laskawie przyglądać się ich śmierci...

W „Pacierz mojej matki” żarliwa prośba o „sprawiedliwość dla pokrzywdzonych”... „Gdy uderzony przez dzieci kot nie może skonać...” Gdy chuda suka daremnie szuka pożywienia dla swych szczeniąt, gdy ptak wykrzykuje swą rozpacz po stracie wybranych z gniazda piskląt...

Sama bardzo kocham zwierzęta i wszyscy z mojego otoczenia wiedzą, że mój dom jest pełen psów, które są przyjazne dla moich przyjaciół i które potrafią żyć w zgodzie z kotem, tolerować żółwia, jeża, gołębia czy żabę. Toteż strofy pani Ireny — mówiące o jej miłości do wszelkich istot żywych otaczających człowieka i rozumieniu tych istot, trafiają mi prosto do serca. I ja również opowiadam się za niebem, w którym czekałby mnie „długi spacer z cieniami moich psów...”

Ta poezja, ta proza piękna i czysta, kiedy brzmiała na przemian w eleganckiej salce gorzowskiego WDK w czwartkowe popołudnie 2 października 1986 roku, wprowadziły wszystkich obecnych w stan wzruszenia. Za oknami lekki wiatr marszczył fale Warty i kołysał czerwone kanki, niby ogromne kwiaty. „Kajaki pękły w rzebie światła sterują odwinętnym płatkami...” Obraz ten widoczny przez szyby dla wszystkich oczu, wtapiał się w nastroj panujący w tej sali. Wspomnienia, trochę nostalgii. I trochę zadumy nad życiem, które umyka, płynie — niczym ta rzeka. „Mówimy ścianom pietruszki, śpiewamy wniewostąpieniem...”

Za to wzruszenie, za drobny skurcz w gardle, za małą łzę tu i ówdzie w czymś oku, serdeczne dzięki pani Irenie — Czarodziejce, pani Irenie — Mędrzyni, wspaniałej pisarce, pełnemu dobroci człowiekowi.

Myślę, że przynajmniej kilka spośród jej wierszy powinni przeczytać wszyscy ci, którzy — jak to sformułował w wygłoszonym przemówieniu ktoś z gorzowian — „szukają ścieżek poznania”, mądrości życia i tajemnic śmierci.

HALINA ANSKA

MoRGINA4KI

FILMY I DOLARY. Zygmunta Kalużyńskiego w „Wyznaniach jurora” („Polityka” nr 40) pisze m.in. „Niedawno Zanussi, który ma tych filmów już z pół tuzina, pokazywał parę z nich nakręconych we Francji w „Institut Français” w Warszawie i oskarżył w dwóch językach Radę Repertuarową i Bonieckiego, że nie sprowadza się jego pozycji europejskich. Rzecz w tym, że trzeba za nie płacić dolarami, zaś ja, który większość z nich widziałem, daję słowo honoru, że są to kawałki jeszcze gorsze niż te, które Zanussi robi w kraju i na które nie ma u nas publiczności (...). Pomijam problem moralny: rodak, który żąda ode mnie, bym płacił za jego działalność dolarami... co powiedziałbyście państwo szewcowi, który na ulicy Wspólnej żąda 20 dolarów za obcas?” A swoją drogą takie szewstwo to lepszy u nas interes, aniżeli kręcenie dolarowych filmów.

NO I DOCZEKAŁISMYSIĘ! W 152 odcinku swojej historii literatury („Przebieg Tajemnic” nr 40) Piotr Kuncewicz zajął do lubuskiego środowiska. I oto zobaczył: w Zielonej Górze, w Gorzowie, także odnajdziemy garstkę twórców: omówionego już Wachowiaka, Komusza, Morawskiego czy Szykła. Janusz Komusz (ur. w Sosnowcu, 1934), kojarzy się z tutejszym piśmem społeczno-kulturalnym „Nadodrza”, nieskazitelnym strojem i białymi rękawiczkami, których nie zdejmuję w żadnych okolicznościach. (...) W Gorzowie dla odmiany wielkorządzą literackim jest Zdzisław Morawski (ur. Aleksandrów Kujawski, 1926), człowiek wielu zawodów, fizyczny, umysłowy i administracyjny (bodaż nawet członkiem KC był przez czas pewien)... Tytuł tej gawędy Piotra Kuncewicza brzmi: „Daleki zachód bardzo dżiki”. Tak widocznie widać z Krakowskiego Przedmieścia, bo my już od dawna nie spotykamy Wachowiaka (od wielu lat mieszka w Poznaniu), rzeczymy słowem honoru iż szef „Nadodrza” nosi zgola symbolicznie białe rękawiczki, co przystoi mu jako poecie, a Zdzisław Morawski był pracownikiem

KC, choć nie jest wykluczone, iż kiedyś zostanie sekretarzem. O Szykła nie wiem co nieco, natomiast o Parno Gerlińskim, ze skrupuła przyznajemy, nie nie słyszeliśmy. Być może, że dowodzi to naszej ignorancji...

GŁOS ROZSĄDNY. W 10-lecie śmierci Stanisława Grochowiaka ukazało się sporo wspomnieniowych publikacji a w warszawskim Muzeum Literatury otwarto okolicznościową, świetnie sporządzoną wystawę, poświęconą wybitnemu poecie i jego twórczości. Spośród licznych prasowych refleksji najbardziej spodobał się nam głos Leszka Żulińskiego pt. „Nie wszystkim mię” („Fakty” nr 40), który przytomnie zauważył, iż dotąd nie doczekaliśmy się wydania dzieł wszystkich Grochowiaka. „Po fali pośmiertnych wspomnień, a nawet szkiców krytyka literacka przez całe lata nie rozpieszczęła tego wybitnego twórcy. Wydawcy zaś nie zdążyli zebrać jego wierszy, prozy, dramatów, recenzji, wypowiedzi i wydać tego wszystkiego w dziele zbieranym — ciekawe, czy mieli za mało czasu?” — pyta Żuliński. I to pytanie brzmi dramatycznie.

INNI ZAWINILI. Wrocławska „Odra” (nr 9) aż dwukrotnie zajmuje się pijackim ekscysem byłego lidera rockowego na stadionie, Mirosława Ratajczaka w publikacji „Kto komu co pokazał?”, ironizując iż wreszcie Polacy znaleźli wspólny język w potępieniu występu Borysewicza, pisze m.in.: „Skóra cierpienie; i cała ta lańcuchowa reakcja zgody, ognis ko wspólnych myśli, perspektywa prowadząca do rozporka zataczającego się na estradzie młodego, zdolnego zresztą człowieka, zaczyna mnie mierzwić”. Wtórnie mu Urszula Kozioł w felietonie „Z poczekalni”: „Po cóż więc stroić teraz takie srogie miny nad głupawym wycykiem (...) piosenkarskiego idola wyhodowanego przez takie właśnie okoliczności sprzyjające, o których tu mowa, i raptem przykładać się do surowego ukarania gołego miecza, a co poczenie się z własną ręką, która — o to go wykierowała?” Intencja autorów jest aż nadto oczywista: wybaczyć idolowi, oskarżyć warunki, czyli rzeczywistość. Czy takie rozumowanie ma coś wspólnego z etyką?

POGŁOSY WINOBRANIOWE. W „Kulisach” (nr 187 z końca września) Jan Galuba opisuje zielonogórskie „Święto Bachusa”, cytując wypowiedzi mieszkańców naszego grodu: — A niech dia bli wzmą takie Winobranie — mówi

mieszkaneczka Zielonej Góry. — Nazjeżdża się tu mnóstwo przeróżnej holoły, która całymi dniami krąży wokół ratu sza, smarując gardła, a później sika po korytarzach. Inna wypowiedź: „Dla takich ochlapusów dobra jest każda okazja — mówi kobieta sprzedająca baloniki”. Są też pozytywne opinie pracowników „Falubazu” i „Novity”, a tak że w całości przedrukowany z „Nadodrza” satyryczny wiersz Zenona Czarneckiego pt. „Tańczące osy”. Jego końcowy fragment brzmi: „Zabawa jest dziś na sto cztery / to nie że trochę się przedłuża / jutro lud pójdzie na L-cztery / a osy padną gdzieś w kalużach!”

NA MEDAL! W tygodniku każdego konsumenta „Veto” (nr 41) ciąg dalszy listy placówek gastronomicznych, które zdobyły „Społemowski Znak Jakości”. Między innymi laureatami zostali: w Świebodzinie — bar szybkiej obsługi „Samosia” przy ul. Grottego 1, kierowany przez Franciszkę Czekalę, jego zastępczynię Zofię Czekalę i szefową kuchni — Janinę Pilinkiewicz. W Zielonej Górze wyróżnili się stolówki: Wyższej Szkoły Inżynierskiej (kier. Halina Hajduła, zastępczyni — Felicja Kosakowska i szefowa kuchni — Krystyna Rzaniewska) oraz — Przedsiębiorstwa Usług Socjalnych Budownictwa (kier. Wacława Zapotoczna i szefowa kuchni — Leokadia Jucha). Jak zapewnia „Veto”: tam „konsument nie czuje się intruzem. Wie, że do rachunku nie dopiszą mu daty urodzenia, dania będą świeże i smaczne, a kawa mocna i aromatyczna”. Wybieramy się do tych zakładów gastronomicznych, aby sprawdzić wiarygodność „Veto”...

RÓŻNORODNOŚĆ W CENIE. Jan Pleszczachowicz w swych „Mediacjach” („Tygodnik Kulturalny” nr 40) zamieszcza „Pochwałę różnorodności” — felieton jest słuszny, tezy autora o podziałach w obrębie środowiska literackiego jakby oczywiste. A jednak budzą wątpliwości takie np. zdania: „Wielimowano po wszystkich stronach, bądź odsunięto na bok wielu ludzi „środką” w światku pisarskim, oskarżając np. o zbytnią ugodowość. Zastąpili ich nie-rzadko tacy, którzy zgody i porozumień z zasady nie lubią, choć o tym mówią z powodów taktycznych, no bo inaczej nie wypada w epoce PRONu...”. Wyeliminowano, odsunięto — ulubione słowa krytyka. Tylko — kto to uczynił, i o kogo imiennie chodzi?

nadodrza ROZRYWKI UMYSŁOWE

Rozsypanka literowa



Rys. L.H.

Odgadnięte hasło, wraz z naklejonym, zamieszczonym poniżej kuponem, prosimy przesyłać na kartkach pocztowych w terminie do 1 listopada br. (decyduje data stempla pocztowego), na adres: Oddział Wojewódzki Narodowego Banku Polskiego, 65-938 Zielona Góra, ul. Sikorskiego 9. Wśród Czytelników rozlosowane będą cztery nagrody rzeczowe o charakterze reklamowym.



ROZSTRZYGNIECIE KONKURSU PN. „CZY ZNASZ ZIELONĄ GÓRĘ?”

Prawidłowe odpowiedzi: 1. Tadeusz Kuncewicz, 2. Eugeniusz Paukerta, 3. 1826 r., „Monte Verde”, 4. 109,3 tys. mieszkańców, 5. 1946 r., 6. Im. Tadeusza Bairda

* 7. 1973 r. (od 1971 r. — WSN) * 8. 1901 r. * 9. 1961 r. * 10. Edward Czernik — 1,20 m.

Nagrody ufundowane przez Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego w Zielonej Górze w postaci 1000-złotowych bonów promiowych PKO wylosowali: Helena Piesuch, Jasionka 77, woj. rzeszowski oraz Czytelniczka z Zielonej Góry — Barbara Baranowska, ul. Buddiszyńska 14/26; Józef Juniewicz, ul. Spółdzielcza 4/15; Marian Sobczak, ul. Słowacka 9/3; Bolesław Szymanski, ul. Kułczarska 7/1.

Ponadto nagrody książkowe fundowane przez naszą redakcję otrzymują: Teofil Świącki, ul. Malczewskiego 5/18, Bielsko-Biala i Andrzej Wierchowicki, ul. Wegierska 15/20, Zielona Góra. Gratulujemy. Wszyscy Czytelnicy, którzy wzięli udział w naszym konkursie — dziękujemy.



Rys. LESZEK HERMANOWICZ